Zwolań
St. Jagiliński

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 399

H. TAINE.

„ŻYWOT I MYŚLI p. F. T. GRAINDORGE“

przełożyli z francuskiego

A. K. M.

z przedmową

Władysława Jabłonowskiego.

TOM I.

Cena 25 kop.

W prenum. 19¼ kop.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
14. Warecka 14.

1905.

APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń

„Żywot i myśli p. F. T. Graindorge".

H. TAINE.

„ŻYWOT I MYŚLI p. F. T. GRAINDORGE"

przełożyli z francuskiego

A. K. M.

z przedmową

Władysława Jabłonowskiego.

APTEKA
St. Jagińskiej
Zwoleń

TOM I.

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава 30 Августа 1905 г.

82338/1

K-17/18/88689

PRZEDMOWA.

Jeden z krytyków współczesnych nazywał moralistami ludzi, którzy umieli wiele złego powiedzieć o człowieku i ludzkości.

Tego rodzaju „moralistów“ było wogóle bardzo dużo, nigdzie jednak tyle — ile we Francyi.

Dość tu zwrócić uwagę na powszechnie znane imiona. Mówił źle o naturze ludzkiej tragiczny Pascal—i rozczarowany La Rochefoucauld—i zrównoważony Montesquieu. Drwił z niej nielitościwie zjadliwy pamflecista, Voltaire, i błyskotliwy Chamfort, i subtelny ironista Renan. Zdzierali tam maskę z człowieka i ludzkości, malowali dosadnie jej nędze i małostki, przywary i występki, tacy niezrównani spostrzegacze jej obyczajów, jak: kardynał Retz, Saint-Simon, La Bruyère i t. p., że pominę legion pierwszorzędnych powieściopisarzy w rodzaju Stendhal'a, Balzac'a, Flaubert'a, Maupassant'a i w. in.,

którym wiedza o naturze ludzkiej nie mało zawdzięcza.

Jedni mówili źle o człowieku dlatego, że go prawdziwie kochali, że byli „smutni i sami pełni winy“, inni dlatego, że czuli doń żal osobisty, za złudzenia odebrane, za rozterkę duszy i zniechęcenie do życia. Byli tacy, co się pastwili nad nim dlatego, że taką była ich natura — zimna i szydercza; i tacy, co robili to, by bawić innych lub samych siebie; wreszcie znajdziemy i takich, którym chodziło głównie o wykrycie prawdy, o sumienną obserwacyę faktów i zjawisk.

Jakkolwiekbądź zapatrywalibyśmy się na moralistów francuzkich, na ich uogólnienia niedostateczne, doktryny zbyt jednostronne i stanowiska wyjątkowe — na ich paradoksy olśniewające i butady obliczone na efekt, na jedno musielibyśmy się zgodzić, że w tem wszystkiem tkwi sporo poczucia życia rzeczywistego, niezwykła zwinność i przenikliwość myśli trafiającej, bez zbytnich zwrotów i ceregieli, w sam rdzeń rzeczy, nieporównana zdolność chwytania kogoś lub czegoś na gorącym uczynku, podpatrywania pierwiastkowych ruchów duszy ludzkiej.

I to również musielibyśmy im przyznać, że w sztuce wyrażania samych siebie, swoich poglądów i obserwacyi, że pod względem kryształowej jasności myślenia, zwięzłego ujmowania wyników własnego rozumowania i uzmysłowiania abstrakcyi za pomocą szczegółów znamiennych—nie wielu mają sobie równych.

W zwartym szeregu moralistów francuzkich,

wśród pisarzy zaprzątniętych gorliwie poznaniem natury ludzkiej, jedno z przedniejszych miejsc należy się H. Taine'owi, pisarzowi niezwykłej świetności, myślicielowi potężnemu i prawemu, ku któremu nieraz jeszcze — pomimo widoczne wady i ułomności — zwracać się będzie wdzięczna pamięć pokoleń, tych zwłaszcza, którym się uprzykrzy obejmowanie samych mgławic i obłoków, co zapragną wyjść z rozmarzenia i bierności myśli, oddać się krystalizacyi samych siebie—swego ducha.

Właściwie wszystko, co Taine napisał, wszelkie jego prace z zakresu historyi, filozofii sztuki, krytyki literackiej, miały na względzie człowieka, jego uczucia i instynkty, jego charakter moralny— były nieustanną „ankietą“ o nim, zmierzającą do wykazania tego, czem był jako przedstawiciel danej rasy, danego narodu, społeczeństwa etc., jak się objawiał w rozmaitych epokach historycznych, w różnych środowiskach, z czego się składał duch jego i jakich czynników był wytworem.

Od tego celu głównego nigdy się H. Taine nie oddalał, a „ankietę“ swoją prowadził wciąż niestrudzenie nawet wówczas, gdy myśl jego poszukiwała wypoczynku wśród uroczych krajobrazów natury, wśród stosunków odrywających wzrok od widoków walki, chaosu i brutalnych konieczności życia bezpośredniego.

Dowodem tego są jego liczne wrażenia z podróży odbytych („Podróż w Pireneje“, „Notaty o Anglii“), a także słynna „Podróż do Włoch“, gdzie nie tylko sztuka czysta go zajmuje, lecz w równym

stopniu ci, co ją stworzyli i to otoczenie, ktore ją wydało.

Oddany badaniu człowieka i jego działalności umysłowej na rozmaitych polach pracy, wśród odmiennych warunków i w perspektywie dziejowej, nie pomijał chwili bieżącej, wżywał się w teraźniejszość, starał się odczuć i wyrozumieć tętno życia współczesnego, ludzi swego czasu, głuche usposobienia i wyraźne dążności, wytwarzające atmosferę moralną pokoleń żyjących.

Tak powstała ta dziwna książka — „*Vie et Opinions de M. Frédéric-Thomas Graindorge*“ (Żywot i myśli p. F. Graindorge'a), w której zgrupował znakomity autor „*Historyi Literatury Angielskiej*“, w formie luźnych notatek, konkretnych scen i obrazów z życia, zarówno jak i ogólnych uwag i formuł abstrakcyjnych, swoje poglądy na ludzi i stosunki własnego społeczeństwa, danej sfery i danego okresu cywilizacyjnego. Te luźne uwagi i spostrzeżenia, te niedbale szkicowane obrazki współczesności, odbijają głęboką i gruntowną, bolesną i strapioną myśl człowieka niepospolitego, którego nieubłagane doświadczenie zmusza wciąż do surowej oceny ludzi, ich życia i ideałów przewodnich.

Jest w tem wszystkiem wiele uprzedzenia, wiele jednostronności w traktowaniu życia ludzkiego — wszystko to jednak przypisać należy nie tyle sercu rozgoryczonemu i egoistycznie urażonemu, ile doktrynie w połowie błędnej, a w każdym razie niezupełnej, w której mieścił się ponury, beznadziejny niemal, uporczywie utrzymywany pogląd na człowieczeństwo. Pojęcie Taine'a o ludzkości jest nader

niepochlebne. Człowiek, podług niego, jest wieczyście, pomimo swój pokost cywilizacyjny i kulturę wielu wieków, zawsze tem samem dzikiem, chciwem łupu zwierzęciem, jakiem był za czasów przedhistorycznych. W łonie ludzkości wciąż wre zażarta walka o byt, prowadzona środkami jaknajbrutalniejszemi. Do instynktów pierwotnych, z biegiem wieków, przyłączyły się idee ogólne, myśl wyrafinowana, pożądania coraz bardziej złożone, co też wpłynęło ujemnie na stosunki międzyludzkie, czyniąc walkę powszechną stokroć bezwzględniejszą i przewrotniejszą. Zwierzę się nie zmieniło w gruncie rzeczy, stało się tylko uczeńszem i subtelniejszem, umiejętniej wydzierającem innym kość nie ogryzioną... Ten pesymistyczny pogląd na naturę ludzką odnajdujemy w zaraniu formowania się myśli filozoficznej H. Taine'a, zarówno jak i w późniejszych jej manifestacyach, gdy się wyzbyła początkowych swoich surowości.

Odnajdujemy ją również, w całej swej cierpkości, w „Żywocie i myślach“ p. Graindorge'a. Autor rozbiera do naga życie współczesne ziomków swoich i wszędzie natrafia na tego rodzaju pobudki, uczucia i myśli, które potwierdzają tylko jego ujemne zdanie o człowieku dzisiejszym.

Mężczyzni tu są brutalni, chciwi, ordynarni i spragnieni grubego użycia, kobiety — puste, kokietujące, przewrotne. Życie rodzinne jest bez wiary i ciepła, społeczne — bez ideałów i dążeń nie materyalnych. Ludzie przeciętni i z lepszej gliny ulepieni, t. zw. artyści, nie wiele się różnią od siebie:

wszyscy zdradzają instynkty poziome, wszystkim brak szlachetności w uczuciach i pragnieniach.

Wszystkimi rządzi gruby interes, żadna pierś nie drga miłością, nie żywi przywiązań czystych, nie płonie chęcią służenia sprawom wielkim. Wszyscy mają samych siebie wyłącznie na względzie, żyją kosztem innych, nieraz ze szkodą innych.

Duszno tu bardzo i — bezdusznie. Atmosfera moralna wypełniona jest egoizmem, lekkomyślnością, obłudą i podstępem.

Niewątpliwie autor zbyt ponuremi barwami odmalował życie swoich współczesnych, zbyt jednostronny dał nam jego obraz. Dużo słowem złego powiedział o naturze ludzkiej, zgodnie z tradycyami moralistyki francuzkiej. W tem tkwi błąd książki, który wszakże, znając życie, łatwo naprawić. Ale to pewna, że okupił go znakomitem oświetleniem tego, co w istocie, w człowieku, jest złem i godnem napiętnowania. Umiał zajrzeć przenikliwie tam, gdzie pod maską kultury, ukrywają się rzeczy potworne, a nadto wytknął te drogi, któremi przemycają się w życie, pod flagą cywilizacyi nowożytnej, towary jaknajfałszywsze.

Co najważniejsza: zaznaczył przyczyny złego, zwrócił uwagę na te czynniki życia współczesnego które znieprawiają człowieka.

Po ich rozważeniu — i po przeczytaniu książki Taine'a—tem wymowniej przemówi do każdego głęboka prawda, zawarta w następujących słowach samego autora: „Tylko w związku z bytem jakimś większym od nas samych możliwe jest życie; trzeba

należeć do jakiejś rodziny, jakiegoś społeczeństwa, nauki, sztuki; gdy jednę z tych rzeczy cenimy więcej niż nas samych, wówczas dopiero udziela się nam ich moc i stałość; w przeciwnym wypadku, człowiek się chwieje, nuży i upada; kto próbuje wszystkiego, ten do wszystkiego nabiera niesmaku".

Wł. Jabłonowski.

WSTĘP.

Obowiązki wykonawcy testamentu są bardzo delikatnej natury, z niemałym przeto trudem zdołałem, zgodnie z życzeniem pana Graindorge, uzupełnić i wydać jego notatki. Rodzina nieboszczyka utrudniała mi to zadanie; rękopis był nieczytelny pan Graindorge miał bowiem charakter pisma angielski, wydłużony, niewyraźny, używał skróceń handlowych i niemieckich znaków pisarskich.

Po upływie pewnego czasu dokonałem tej pracy, ale żałuję, że nie jest dokładniejsza. Pan Marcelin, którego pan Graindorge zaszczycał, jak mnie, swoją przyjaźnią, chciał również uczcić jego pamięć i polecił uzdolnionemu fotografowi zdjąć kilka widoków z mieszkania zmarłego. Dzięki tym odbitkom zebrał charakterystyczne rysy jego osoby, stroju, dołączył do tego podobiznę jego sekretarza, siostrzeńca i innych osób, o których mowa jest w tej książce; nie pominął żadnego osobliwszego

przedmiotu, nie zapomniał nawet o szkielecie wypchanego krokodyla, ani o twarzy Sama, lokaja murzyna, który w przedpokoju wiecznie szczerzył swoje białe zęby. Oprócz tego zamierzał dać rysunki wszystkich drobnych wypadków, które zdarzyły się bądź w salonie, bądź w teatrze, bądź w podróży i zostały opowiedziane przez pana Graindorge. Ale rozliczne zajęcia nie dozwoliły mu wykonać tego zamiaru i czytelnik nieraz pożałuje, niestety, że ilustracye nie uzupełnią tego, czego nie mogło dopowiedzieć nieudolne moje pióro.

W towarzystwie pana Graindorge spędziłem nie jeden wieczór, rozmowa jego bowiem sprawiała mi zawsze wiele przyjemności. Erudycya jego nie była wyjątkowa, ale dużo podróżował i umysł swój zbogacił w fakta. Zresztą nie był ani pedantem, ani świętoszkiem i częstował gości wyśmienitą kawą turecką. Najbardziej ceniłem w nim upodobanie do pojęć ogólnych; skłonność ta była mu wrodzona, ale czytelnik paryzki znajdzie zapewne, że wpadał w przesadę.—Nie wiem, czy miał powodzenie w świecie; flegma amerykańska służyła mu za pancerz, handel zaś wyrobił w nim stanowczość i krańcowość. Był to człowiek wysoki, chudy, który mówiąc, nie gestykulował wcale. Niezmierny spokój jego twarzy nie wypływał z braku wyobraźni lub uczucia, ale z ciągłego panowania nad sobą.

Rozmowa jego nie miała w sobie nic literackiego, prócz chłodnej ironii. Jednakże ponieważ lubił czytać i odebrał wykształcenie klasyczne, umiał i mógł pisać nie gorzej od innych. Zwykle rozmawiał stojąc, oparty plecami o kominek, z ust zaś

jego padały słowa po kolei, bez najmniejszej zmiany w intonacyi głosu. Zdania, które wypowiadał, były to tylko *slotements od facts*, niezmiernie ścisłe i proste. Na razie nie robiły wrażenia, ale po upływie godziny zapominało się o ich monotonii i nagości, by jeno odczuwać ich trafność i dokładność. Najwidoczniej dlatego tylko mówił, żeby spełnić obowiązek towarzyski, największą bowiem jego przyjemnością było przysłuchiwać się rozmowie drugich. Mieliśmy bardzo mało wspólnych poglądów, ale nasze metody rozumowania były jednakowe, co wystarcza, aby rozmowa była miłą. Zresztą nie gniewał się, gdy mu zaprzeczano i często oddawał się krytyce, zwracając nawet jej ostrze przeciw samemu sobie, rozbierając wewnętrzny mechanizm własnego mózgu i charakteru, żeby wykazać pobudki swych czynów, oraz źródło poglądów i, co za tem idzie, pesymizmu. Podług mnie, za wiele cierpiał w młodości i zanadto zamykał się w sobie w wieku dojrzałym; co więcej, zrobił z siebie dyletanta, chciałem powiedzieć, że się oderwał od wszystkiego, żeby módz wszędzie być i wszystko zobaczyć. Aby żyć, trzeba się wcielić w istotę od nas potężniejszą, być członkiem rodziny, stowarzyszenia, zajmować się nauką lub sztuką. Uznając bowiem możność jednej z tych rzeczy, czerpiemy z niej moc i wytrwałość; w przeciwnym razie przychodzi zniechęcenie, jesteśmy chwiejni i bezsilni; ten, co chce wszystkiego zakosztować, zniechęca się do wszystkiego. Pan Graindorge wiedział w czem leżało źródło jego choroby, ale był za stary, ażeby szukać na nią lekarstwa. Przytoczyć mogę anegdotkę, wykazującą jego poglądy

i trzeźwość sądu. Raz, po długiej rozprawie filozoficznej, powiedział mi, streszczając swe wywody „Ludwik XI, przy końcu życia, miał całą kolekcyę młodych wieprzów, które kazał przebierać za dżentelmanów, kupców, kanoników; tresował je z pomocą bata i kazał im tańczyć w tych strojach. Tajemnicza dama, którą zowiecie Przyrodą, czyni to samo; niewątpliwie pragnie się zabawić, tylko gdy pod działaniem ostrogi dobrze wykonaliśmy swe role i uśmiała się z naszych grymasów, odsyła nas do rzeźni, a następnie układa w beczce". Ten pogląd na życie wydał mi się przesadzonym i zanadto osobistym. Podjąłem przeto znowu myśl, wypowiedzianą przed chwilą, ale w formie bardzo ogólnej i ze wszystkiemi możliwemi względami, oraz szacunkiem, należnym staremu człowiekowi. Odłożył cygaro, zastanowił się nieco i rzekł do mnie swym powolnym głosem: „Doszedł pan zapewne do wniosku, że byłoby dla mnie najlepiej nie żyć wcale; jest to również i mojem przekonaniem". A gdy jąłem zaprzeczać bardzo gwałtownie i z pewnem wzruszeniem, uśmiechnął się, co mu się nie zdarzało dwa razy na miesiąc i dodał tym samym tonem: „Mając lat pięćdziesiąt pięć i chorując na wątrobę, przekona się pan, że ten pogląd jest najwygodniejszą poduszką na świecie". Zapisał mi przybory do kawy tureckiej i zapas cygar, jestem przeto jego spadkobiercą; mimo to sądzę, iż jestem szczery, wypowiadając żal, że już umarł.

H. Teine.

APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń

ROZDZIAŁ I.

7 grudnia.

Wczoraj, w teatrze des Italiens, *Cosi fan Tutte* z Frezzolinim.

Siedziałem na balkonie; z pośród siedmiu otaczających mnie kobiet było sześć kokot.

Dwie mniej więcej dwudziestoośmioletnie. Jedna z nich, prawdziwy typ Bouchera, już nieco zniszczona; druga, piękność tycyanowska, pulchna, biała, o małem tłustem uszku, obłokiem rozwichrzonych nad czołem jasnych włosów, opuszczonych nizko na szyję i spiętych grzebieniem złotym. Płeć zdumiewającej matowej białości. Za czasów Tycyana byłaby poprostu energiczną i głupią; dziś zbrukana, spodlona, bezwstydna, przyzwyczajona do zniewag i zuchwałego obejścia, ma po za sobą dziesięć lat nocnego czuwania, kąpieli, pudru, pasztetów. Jeżeli się czego nauczyła, to tylko jeść smacznie i wykwintnie, pić wino wytrawne; żywiołem jej jest kolacya w gabinecie. Zaczyna już być trochę ociężałą, przeobrażać się w gęś tłustą. Opowiadała przyjaciółce, wznosząc oczy w upojeniu gastronomicznem, o ostatnim obiedzie, ładnej orgii, z winami, kawą, usługą.

W loży, za nami, stary książę N... z baletnicą Opery i aktorką z Variétés. Wystawia je tak na pokaz co sobota. Baletnica ma chropawy głos ulicznicy, a zachowuje się jak przekupka owoców; tworzy to kontrast z jej białemi rękawiczkami na trzy guziki. Mówi głośno, używając łobuzerskich wyrażeń. Kiedy Fleur de Lys i Doralisa zaczynają szlochać, żegnając się ze swymi narzeczonymi, powiedziała na cały głos, podczas ogólnej ciszy: „I to wszystko dla Carreau". Carreau, biedaczek bez głosu, ale miłej powierzchowności, grał rolę drugiego kochanka. Kilku mężczyzn odwróciło się i roześmiało. Była zadowolona, miała powodzenie. Reszta jej uwag jest w tym samym guście: „Alboni tak jest ściśnięta, że unosi się jej spódnica. Patrzcie, w czarnem wydaje się cieńsza. Ale co to takiego ta opera? Nic a nic nie rozumiem. Czegoż bo tak wytrzeszczają oczy? Dużo wolę les Funambules!"

Przed nami nieco niżej siedzi kobieta uczciwa. Spostrzedz to można odrazu, ponieważ jest mniej wydekoltowana; zachowanie, wyraz jest inny. Kokota w wielkim stylu wygląda zawsze tak, jak gdyby myślała tylko o rozkoszach. Ta zaś pragnie hołdów. Mała różnica.

Jasnem jest, że będąc taką ładną, taką starannąą w stroju, o niczem innem nie myśli. Ściąga powszechną uwagę, chce, aby na nią patrzano, za-

FILIA UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA w S-stoku

przątano się jedynie jej osobą. Kobieta piękna, lub poprostu ładna ma wymagania, próżność, drażliwość księcia, aktora albo autora, tak jak oni, pożąda pochlebstw i używania.

Patrząc jeno na strój i powierzchowność, są to boskie istoty. W koronkach i wstążkach, okalających ich ramiona, w fałdach białego jedwabiu w kwiaty, któremi są spowite, jest nieskończenie wiele obietnic rozkoszy, wyrafinowania, smaku i elegancyi. Ale nie trzeba przysłuchiwać się temu, o czem mówią, ani zajmować się tem, co czują, lub jak czują.

---

15 grudnia.

Wieczór poślubny w restauracyi: sami urzędnicy; pan młody jest pomocnikiem dyrektora i zarabia jeszcze cośkolwiek, zajmując inne skromne miejsce; naogół cztery tysiące franków. Panna młoda ma pięćdziesiąt tysięcy franków posagu, ojciec jej jest inspektorem wód i lasów na prowincyi.

Ohydny jest ten wykwint kawiarniany. Meble są spłowiałe, dywany na schodach lepkie, bierze ochota napisać na drzwiach: *Nopces et festins*. Garsoni roznoszą wodę ocukrzoną i zlekka zabarwioną sokiem porzeczkowym. Ośmielają się rozmawiać z gośćmi, robią uwagi i jeszcze jakie uwagi: „Będziecie państwo mieli lody i różne inne dobre rzeczy". Zachwycające zuchwalstwo i czysto paryzkie!

Zebranie, co prawda, jest bardzo pospolite: strojom, pretensyom, chęci należenia do najlepszego towarzystwa zadają kłam wymuszone maniery, dziwne kształty nosów, brak swobody, wygląd głów, którym monotonia fachu nadała w końcu wyraz zbydlęcenia. Niektóre z nich, wulgarnie wydelikacone, jeszcze przykrzejsze wywierają wrażenie.

Dobrze noszonem jest tylko to, co zawsze się nosi. Zbytek razi, jeżeli jest dostępny zaledwie raz do roku.

Dla ludzi posiadających mniej, niż dwadzieścia tysięcy franków rocznego dochodu, jedyną drogą wyjścia jest żyć na modłę genewską lub angielską: nigdy nie przyjmować, unikać wszelkiej wystawności, ograniczyć się do małego kółka drobnych przyjaciół, pieniądze zaś, wydawane na bale i przyjęcia, przeznaczyć na większy komfort życia, smaczne, wiejskie obiady, cienką bieliznę; w przeciwnym bowiem razie jest się śmiesznym i w pieniężnych kłopotach. Brać ślub przy drzwiach zamkniętych, bez orszaku, jedynie w obecności ojca i matki. Obfite uczty, tańce przy świetle kinkietów dobre są dla chłopów, którzy mogą najeść się do syta tylko raz przez całe życie, lub dla robotników, potrzebujących rozprostować sobie nogi.

Grajek, człowiek trzydziestoletni, o ogłupiałym wyrazie twarzy, śmieszny był w tużurku, z wąsami i wyglądem odświętnie wystrojonego młynarza. Pociąg do kieliszka przebijał z pod tej powłoki. Bębnił twardo i machinalnie, biorąc piętnaście sous za godzinę. Przypominał mi karawaniarza w wiecznie wytartym czarnym stroju i kapeluszu czarnym o zrudziałych brzegach.

Panna młoda ma wygląd poczciwej, zażywnej

gosposi, bardzo okrąglutkiej, która chciałaby skryć się do kąta. Pod wieczór, około jedenastej, zaczyna już nabierać pewności siebie, robi damę, mówi o urządzeniu przyszłego mieszkania, używa liczby mnogiej: „Pójdziemy, zrobimy". On, zręczny i żywy, kłania się, uśmiecha, podskakuje, porusza nieustannie rękami, nogami, oczyma, głową, z ruchliwością prawdziwego południowca; poły od fraka unoszą się wciąż w powietrzu, jak skrzydła. Poznali się przed sześciu tygodniami; zaręczyli się po trzeciem widzeniu. Dziś fortepian, zgiełk, woda z sokiem porzeczkowym i dwa ciała i dwie dusze zostały złączone na wieki.

---

17 grudnia.

Wieczór w ściśle dobranem kółku, ludzie z najlepszej sfery. A jednak, jakie kontrasty!

Młoda panna śpiewała nie pamiętam już jaką melodyę nowoczesną, w każdym razie pieśń miłosną, tak namiętną, że zadowolnić mogła największe w tym względzie wymagania; zwłaszcza w akompaniamencie są nadzwyczajne wybuchy, jak w *Serenadzie* Schuberta. Zanotować trzeba, że gdyby kto się ośmielił wobec matki, ojca, ciotki, babki lub całego sztabu opiekunek i krewnych tej młodej osoby zrobić choćby najlżejszą aluzyę do tego, co usłyszeliśmy przed chwilą, byłby najbardziej ordynarnym, najnieprzyzwoitszym z ludzi.

Popisy licznego szeregu artystek, między innemi pani de V.... Młoda mężatka dwudziestoletnia,

oczy wzniesione w niebo, czyli w sufit, z wyrazem oczekiwania. Śpiewała *Pragnienie wiosny*, z omdlewającemi minami, jako stosowny komentarz do muzyki. Mąż promienieje, podaje nuty, gra rolę impresarya. Co do mnie, wolałbym, aby moja żona rozebrała się publicznie.

Mimo wszystko przebija zawsze aktorka i szwaczka. Patrzyłem na te kobiety w kosztownych, wyciętych sukniach z koronkami. Suknie są piękne, nawet poetyczne, ale głowy!

Pani de V... i jej małżonek powrócili przedwczoraj o siódmej zrana. Tego samego dnia udali się na inne przyjęcie. Młode panie są nienasycone; jeżdżą codziennie na bale, obiady lub do teatru. Pani de V... bywa w świecie sześć razy na tydzień i w dwóch lub trzech domach jednego wieczoru, co jej zabiera tyle czasu, ile potrzeba, żeby zasiąść w fotelu, zamienić frazes konwencyonalny, skinąć na męża i narzucić okrycie w przedpokoju.

Wiecznie jednostajny uśmiech na twarzy; jest to już grymas nabyty, usta powracają do tego samego uśmiechu, jak stopa baletnicy opada w tańcu na końce palców.

Bez względu na swą urodę, nie jest niczem innem, jeno lalką; po dziesięciu minutach rozmowy bierze ochota oddalić się. Mąż, namiętny amator trufli, jest niemal karłem przysadkowatym. Swoją drogą, żona dobrze robi, że każe mu się ruszać, za wiele bowiem jada i grozić mu zaczyna brzuszek.

---

21 grudnia.

W dzisiejszych czasach mężczyźni nie mówią inaczej z paniami w salonie, jak z pewnym odcieniem szyderstwa. Tonu tego nabrali przez zbyt częste obcowanie z kobietami z pół-światka, z któremi jest się zawsze na stopie wojennej. Rycerskie obejście, pełne prawdziwego szacunku, znikło bez śladu. Galanterya, uprzejmość lub chociażby proste oznaki uszanowania znaleźć jeszcze można tylko u mężczyzn pięćdziesięcioletnich. Pani André M... mówiła mi wczoraj, że to jest bardzo niemiłe i że nie wiadomo, dokąd to dojdzie. Zauważyłem ten ton u jej męża, jak u innych.

---

23 grudnia.

Kobiety osamotnione w salonach nudzą się niesłychanie; wolą już nawet być przedmiotem szyderstwa. Zgrupowane w kilka rzędów, uwięzione murem sukien, który trzebaby przebyć, ziewają dyskretnie za wachlarzem. Niepodobna ruszyć się przez cały wieczór i żadnej przytem rozmowy; niechętnie rozmawiają pomiędzy sobą; rywalizując co do stroju i urody, nie dowierzają sobie wzajemnie, umieją tylko uśmiechać się do siebie i przeklinać w duchu.

Mężczyzni, wsparci o drzwi salonu, obserwują i lornetują, jak gdyby stali przed oknem jakiego bazaru. Wistocie jest to wystawa falban, brylantów i ramion.

Rozgoryczenie przychodzi szybko. Przejęte są

odwiecznemi żalami do małżeństwa, w ktorem doznały samych zawodów. „Mężczyzni mieli młodość, iluzye, słowem żyli, a my?“ Doprowadza je to do wściekłości, że poprzedziło ich pięć lub sześć łajdaczek. Jedna z nich wciąż powracała do tych samych słów: *poznać życie* to jest upojenie, wzruszenie najwyższe, palpitacya serca i nerwów, szał ogarniający wszystko, zmysły i głowę. Mowa ich jest wstrzemięźliwa, ale myśli! Niktby nie zmierzył przepaści, otworów bezdennych, ukrywających się pod tą powłoką światową.

Pani André M... najchętniej czyta romanse H. Mürgera; w nich tylko, podług niej, doszukać się można prawdziwego uczucia. Widziałem Niemki, czytające i odczytujące *Fanny* i *Madame Bovary*. Znudzone domową strawą, marzą o kolacyach w restauracyi. Możnaby je po tej pochyłości zaprowadzić daleko.

Nakazane im są uczucia wiewiórki w klatce, życie spokojne, ustalone, wolne od namiętności, jak życie holenderskiego filozofa; jednocześnie zaś wpajają w nie sztukę zadowalania, rozbudzania, drażnienia najżywszych stron wyobraźni i najbardziej wyrafinowanej żądzy. — Moja droga, wzniecisz dookoła siebie pożar jaknajgwałtowniejszy, ale pozostaniesz zawsze chłodną.

---

3 stycznia.

Na przedstawieniu opery dwie młode panie i ich mężowie w mojej loży.

Słyszę, jak rozbrzmiewają nazwy *moire antique*, aksamitu wytłaczanego, popeliny, gipiury, falban i t. p.

W świecie, gdzie dochody wahają się od czterdziestu do osiemdziesięciu funtów, niepodobna myśleć o czem innem. Pani M... i pani de B... wychowane były skromnie, mają dużo wrodzonej prostoty, a jednakże na nic nie mają czasu. Trzeba iść kupić materyał, dobrać wstążki, kazać przybrać kapelusz, porównać koronki, rozmówić się ze szwaczką. Godziny popołudniowe spędzane są w magazynach; mąż nie może korzystać z powozu.

Mają słuszność, dają Francuzom to, co im się podoba, rozrywkę. Nie wiedzieliby, co począć z uczuciem głębokiem i stałem; wprawiłoby ich w zakłopotanie i niepokój; potrzeba im przelotnego połechtania wyobraźni, miłej zapowiedzi rozkoszy, od niechcenia rzuconej.

Moje dwie młode panie stworzone są do tej roli. Jest to niezmienny stan wesołości i uprzejmości zachwycającej. Straszny dramat *Trubadura*, rozgrywający się na scenie, nie gasi na ich ustach uśmiechu, nie wyprowadza ich z równowagi.

Proszę sobie wyobrazić osobę jedzącą lody z marengami, które powoli rozpływają się w jej ustach. Takich doznają uczuć, uczuć spokojnego, dość poziomego rozradowania, bez żadnych ubocznych myśli.

Każdy ma sobie właściwy stopień i rodzaj szczęśliwości, będącej jakby jego moralną i przyrodzoną temperaturą. Szuka jej dookoła siebie i stara się doń zbliżyć. Taka temperatura dla Woltera na

przykład, znajdowała się w atmosferze kolacyi ożywionej i wykwintnej, w poczuciu żywej przemiany myśli, jak gdyby się miało butelkę szampana w głowie. Temperaturą Verdi'ego jest ta, co odpowiada rewolucyoniście, bojownikowi, człowiekowi przejętemu oburzeniem, który długo tłumi to oburzenie, cierpi, wypręża siły, aż w końcu wybucha jak burza. Osobliwi to słuchacze, ci, co wypełniają salę, żeby dostroić się do poziomu Verdi'ego!

Są to krytycy, o smaku wyrobionym, ironiczni, najzupełniej niezdolni zapomnieć się lub wzruszyć do głębi. Zajęci byli głównie wyglądem Azuceny.—„Nieźle wygląda, strój cyganki jest bardzo charakterystyczny". Następuje potem opis wstrząsający, tak głęboko tragiczny, niemal rozdzierający, przepełniony grozą strasznych namiętności hiszpańskich, krwawą wielkością średniowieczną. Panie podawały sobie z rąk do rąk lornetkę, chodziło o to, żeby dokładnie określić odcień cery Azuceny. „Boże wielki! okopcona jest jak szynka!" I śmieją się z pewnym niesmakiem. Przypomniało mi to epizod podczas ostatniego aktu „Don Juana": kiedy dyabełki wpadają w podrygach, wszystkie osoby, siedzące w lożach, robiły żartobliwe uwagi. Nie odczuły istotnego tragizmu melodyi.

---

4 stycznia.—Alceste w Operze.

Publiczność zachowywała się bardzo chłodno i ożywiła się dopiero podczas baletu. Publiczność ta składała się przeważnie z ludzi, pragnących się zabawić, którzy przychodzą słuchać wielkiego dramatu, jak się idzie do kawiarni lub do Vaude-

ville: Scribe, Aleksander Dumas ojciec, Adolf Adam, dają nam miarę tego, czem są Francuzi. Jednakże, dzięki wysokiej kulturze Paryża, można znaleźć niewielką garstkę prawdziwych znawców, a od biedy i reszta widzów mogłaby się wznieść do ich poziomu. Ale instynktowna sympatya, wrodzone poczucie piękna, zdolność do złudzeń, istnieją w Niemczech i we Włoszech. W Berlinie słuchają muzyki w milczeniu i z taką uwagą, jak w kościele. Tu, szydzą.

Co za tem idzie, nie zbywa na bąkach Kółka od konewek do wody widzieć można z najlepszych lóż, co obniża wrażenie. Wyraz znudzenia, bezczelności statystów, tworzy przykry kontrast z muzyką; potrącają się łokciem i sprzeczają za kulisami. Balet jest ohydny. Jest to wystawa ulicznic. Mają gesty i minki swego fachu, pełne ckliwej i przybranej lubieżności. W balecie na sto tancerek jest zaledwo dziesięć prawdziwych piękności. Wszystko jest wyzwaniem, tak jak na chodniku; łydki w różowych trykotach ukazują się aż do bioder; pozy cyrkówek; z temi szpetnemi to nóżkami współczesnej żaby, cienkiemi jak nitki, łapkami pająka, okrągłemi piruetami ze szkoły linoskoczków, wyobrażają sobie, iż naśladują szlachetne pochody Grecyi starożytnej.

Ludzie światowi, żyjący jedynie dlatego, żeby używać, ale znajdujący istotną rozrywkę raz na dziesięć, burżuazya goniąca również za przyjemnością, lecz nie osiągająca jej nigdy; ulicznice i pospólstwo podejrzane, gotowe nim frymarczyć i oszukiwać go—oto Paryż.

ROZDZIAŁ II.

PAN GRAINDORGE DO CZYTELNIKA.

Do pana Marcellin, kierownika *Vie Parisienne.*

Szanowny panie!

Ponieważ pan uznał za stosowne zapoznać swych czytelników z autorem dość dziwacznych notatek, które mają być ogłoszone drukiem, będę miał zaszczyt przedstawić się im osobiście. Jest to coprawda nieco żenujące. Mniejsza o to. Trzeba, aby poznali człowieka, który raz lub dwa razy na miesiąc gawędzić z nimi będzie podczas ich pierwszego śniadania.

Mam pięćdziesiąt dwa lata: Handlując wędliną i olejem, zdobyłem osiemdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu i wcale nie posiadam wyobraźni. Co więcej, opuściłem Paryż przed czterdziestu laty. Stanowi to bardzo złe przygotowanie do opisywania życia paryzkiego. Prawdopodobnie nazwą mnie, lub może już nazwali, barbarzyńcą.

Jeżeli tak jest, zapewniam pana, że przyczyniło się do tego moje wychowanie. Ojciec mój znajdował, że szkoły francuskie to koszary, gdzie nauczyć się jeno można palić ukradkiem papierosy i wzdychać do poznania ładnych panienek, tańczących tak zwinnie na ulicy Cadet pomiędzy jedenastą a dwunastą godziną w nocy. Wysłał mnie do Anglii, gdzie pisywałem moc wierszy greckich, zwłaszcza jambicznych; oprócz tego, czyściłem buty starszych kolegów, oraz rozdawałem i otrzymywałem kilka tuzinów kułaków tygodniowo. Nie odniosłem wielkiej korzyści z wierszy greckich, nawet jambicznych, ale obojętność czyszczenia butów i oswojenie się z kułakami przydały mi się bardzo w przyszłości: pozwalam sobie zalecić tak jedno, jak drugie pańskiemu synowi, jeżeli przypadkiem posiada pan syna.

Kiedy doszedłem do lat osiemnastu, ojciec mój uznał, że dzięki wierszom greckim i energicznym szturchańcom, musiałem wyrobić w sobie wielką cierpliwość umysłu i silne bary, wyprawił mnie przeto na uniwersytet do Heidelberga. Kupiłem czerwoną czapeczkę ze złotym galonem i chodziłem po ogrodach starego pałacu, prostując tors, co nadaje wygląd bardziej męzki; nosiłem również okulary, mimo doskonałego wzroku, żeby mieć minę uczonego. Przez lat pięć wypaliłem niezliczoną ilość fajek, dostałem i wymierzyłem kilka uderzeń szpadą, raz z powodu służącej, której ubliżył jeden z moich kolegów; drugi raz występując w obronie zmysłu wewnętrznego; innym razem z powodu obiektywizmu i indywidualizmu nieskończoności. Z całej duszy

zachwycałem się dziełami i poddziełami, na które moi profesorowie rozklasyfikowali wszelkie rzeczy boskie i ludzkie. Dawałem znak nogą, ile razy docent mowił za szybko; nie chciałem stracić ani jednego słówka; zdawało mi się, że cała wiedza, ponumerowana i opatrzona etykietami, układa się w mojej głowie, jak w szufladach biurka; zaczynałem nawet nabierać pojęcia o absolucie i marzyłem o dokonaniu odkryć nieśmiertelnych, kiedy umarł mój ojciec, zostawiając mnie bez grosza.

W Niemczech, szanowny panie, można spotkać w pismach następujące ogłoszenie: „Młody człowiek, który odebrał staranne wykształcenie klasyczne, władający doskonale kilku językami nowożytnemi, obeznany z prawem i wyższą matematyką, zaopatrzony w najlepsze rekomendacye, poszukuje miejsca komisanta handlowego z pensyą tysiąca dwustu funtów rocznie". Nie miałem tyle kwalifikacyi, z wielkiem przeto zadowoleniem wstąpiłem w służbę do pp. Schwarz i S-ka w Hamburgu, handlujących olejem, którzy mnie posłali w charakterze kontrolera odbioru i dostawy swego towaru. Miałem długie, płasko rozczesane włosy, roztargniony wyraz twarzy i za mało myślałem o oleju; ale prędko zmuszony zostałem rozruszać się. Pewnego razu majtek, chłop rosły i barczysty, któremu rozkazałem przynieść baryłkę, wzruszył ramionami, zowiąc mnie: *Euer Gnaden*—jaśnie panie". Rzuciłem się na niego i sześciu uderzeniami pięści rozpłaszczyłem mu twarz; usłuchał natychmiast; cała załoga zaczęła traktować mnie życzliwie i tą drogą nabyłem pierwszych pojęć o sposobie obchodzenia się z ludźmi.

W trzy tygodnie potem, podczas przystanku w Kubie, oddaliłem się o dwieście kroków od portu, wsparty na ramieniu kolegi, byłem bowiem bardzo osłabiony po przebytej gorączce, wywołanej złą wodą do picia i sucharami, których nie mogłem trawić. Dostrzegłem kilku z tych Chińczyków, co to sprzedają się na lat dziesięć za miarkę ryżu dziennie, dwa piastry rocznie, koszulę i kapelusz słomiany co dwa lata i liczbę pałek, stosownie do dobrej woli nabywcy. Jeden z nich poszedł za mną, ulitowałem się i dałem mu jałmużnę. Po upływie pięciu minut, na zakręcie drogi, dobrze wymierzone uderzenie kijem z ręki tegoż samego Chińczyka powaliło mnie na ziemię. Kolega pomścił mnie i oto Chińczyk leży rozciągnięty na drodze. Wstałem i wróciłem kulejąc do okrętu. „Co się stało z Chińczykiem?“—zapytałem swego obrońcy.—„Och, nie troszczmy się o niego, jego towarzysze przyjdą dobić go i pochować, raz dlatego, żeby zabrać koszulę, po drugie, żeby uniknąć podejrzeń w razie, gdybyśmy podali skargę“.

Obwiązałem zranioną głowę i zastanowiłem się głęboko. Doszedłem do przekonania, że ludzie nie są tak skłonni do uczuć braterskich, jak mi się zdawało. W tydzień potem, przy *table d'hôte*, proszę sąsiada o podanie mi półmiska: bierze go, wącha, osądza, że smaczną jest zawarta w nim potrawa, i zjada ją z całą powagą, nie zajmując się wcale moją osobą. Był to mój sąsiad z lewej strony. W tejże samej chwili sąsiad mój z prawej strony dopomina się raz, potem drugi raz o kawałek szynki, ale garson nie słyszy jego rozkazu. Wówczas rzuca mu talerz na głowę; garson, mając przecięte

ucho, porywa za krzesło i powala na ziemię gentelmana; sam jest z kolei powalony przez innego gentelmana, który wydobywa z kieszeni *bowie-knife*. Tymczasem kilku amerykanów siedziało najspokojniej w rogu kominka z nogami wzniesionemi na wysokość oczu, obciosując mały kawałek drzewa nożykiem, co stanowi ich ulubioną rozrywkę. Odwrócili jeno głowy, gwiżdżąc zlekka, z tym rodzajem zaciekawienia, jakie wzbudza walka na pięście. Było to wystarczające: wiedziałem, co mi czynić należy. Pierwsze oszczędności przeznaczyłem na lekcye fechtunku, kupiłem strzelbę i wprawiałem się celując do krokodyli w rzece, pozbyłem się metafizyki i uprzejmości i zacząłem iść prosto przed siebie w dobrym kierunku, to jest drogą prowadzącą do pieniędzy.

Nie opowiem panu o początkach mej karyery byłoby to za długie, może za trywialne; wy, Francuzi, nie lubicie szczerej prawdy. Powiem tylko, że żywiłem się mięsem wściekłej krowy i nie zawsze byłem syty—nie każdy może mieć mięso wściekłej krowy na zawołanie; zresztą, w Ameryce, znajdują, że od lat dwudziestu do trzydziestu jest to najwłaściwszem pożywieniem człowieka. Doszedłszy do trzydziestego roku życia, miałem plantacyę, dziewiętnastu niewolników i pięćset sztuk nierogacizny. Tak z niewolnikami, jak z nierogacizną obchodziłem się dobrze, ale ciągnąłem z nich zyski. Tu zapewne będzie się pan oburzał, nazywając mnie łotrem, który ludzi wyzyskuje. Niewątpliwie, szanowny panie, są źli panowie. Skoro tylko sąsiad mój, pan Wright, spostrzegł konia okaleczonego, ka-

zał przystawiać woźnicy wezykatoryę wielkości rany konia i zmuszał murzyna do zachowania tego ostrzeżenia dopóty, dopóki koń się nie wyleczył. Co do mnie, jeżeli byłem niezadowolony z niewolnika, zaraz go sprzedawałem; to była moja największa kara; nie wymierzyłem dwudziestu batów przez całe życie. Zapewniam pana, że w niedzielę moje urwisy wylegiwały się najrozkoszniej w świecie, czując, jak ich tłusta skóra rozszerzała się i ociekała na słońcu. Co zaś do wieprzów, to mają te same upodobania co murzyni, ale więcej sprytu. Są to zwierzęta bardzo dystyngowane, o wielkopańskich instynktach i finezyach dyplomaty. Idą całemi stadami na żer, chciałem powiedzieć, na spacer, i spędzają dnie w cieniu wielkiego dębu, zapuszczając się nieraz daleko, czasem o milę od chlewu, jak przystoi smakoszom i amatorom przygód, bardzo łakomym i umiejącym zręcznie wyszukiwać i wykopywać długiemi ryjami smaczne korzonki. Lubią towarzystwo, ale tak, jak ludzie, z wyrachowania. Skoro tylko dostrzegą niedźwiedzia, tworzą półkole i pokazują kły. Jeżeli który z nich odłączy się od stada i da się porwać, krzyczą wszystkie razem, podnosząc łby; potem, kiedy niedźwiedź najedzony do syta oddali się, zjadają szczątki swego towarzysza, jak pan widzi, mają umysł pozytywny. O zachodzie słońca rozlega się odgłos trąby. Przybiegają galopem z czterech stron świata i tak jak panowie zastają stół nakryty; małe skupiają się do gromady, różowe i świeże jak amorki Rubensa, wsuwają się całe do olbrzymich dyń, napełniają sobie brzuchy i wychodzą pomazane na żółto. Niech

mi pan wybaczy te zbyt żywe wspomnienia; przeżyłem dziewięć lat pośród tych zwierząt i nieraz podczas przedstawienia Opery paryskiej żałowałem ich muzyki. Z początku sprzedawałem rocznie dwieście sztuk, potem tysiąc, a następnie dwa tysiące. Imię moje znane było w Cincinnati i byłbym mógł jak inni wybudować sobie dom grecki z gotyckiemi wieżyczkami, zostać kapitanem straży ogniowej, skarbnikiem towarzystwa edukacyjnego anatomii i kliniki dla kobiet kształcących się na chirurgów. Ale marzyłem o Paryżu i wiedziałem, że mogę doń wrócić tylko bogatym. W owym czasie odkryto w Pensylwanii studnię oleju ziemnego. Rzuciłem się z zapałem w to przedsiebierstwo. Wstąpiłem na trzy miesiące do sklepu, żeby wykształcić sobie węch i mieć do czynienia z baryłkami, mydłami, smołą i smarowidłami. Kosztowałem próby towaru, wyobraźnię moją zaludniły konwie, gąsiory, krany, płyny rozmaite, z których jedne były żółte, drugie zielonkawe, inne nakrapiane, wszystkie zaś lepkie i ociekające, mające każdy właściwą sobie cenę, zapach i markę. Po takiem przygotowaniu założyłem sklep, kupiłem grunt i wykopałem studnię, natrafiłem bowiem na żyłę. Wydobywałem na dobę pięć tysięcy litrów oleju i zarabiałem czterysta dolarów dziennie. Jedyną złą stroną tych cudownych studni jest to, że czasem się zapalają. Mój następca spalił się w nich żywcem, razem z połową swych robotników. Niech się pan uspokoi, pieniądze były mi już wypłacone.

Mimo tak świetnego rezultatu, ani olej, ani solona wieprzowina nie zaspakajały moich duchowych

aspiracyi. Amerykanie zajmują się interesami, ponieważ lubują się w interesach, a ja nie. Nie ożeniłem się, nie miałem, jak oni, z pół tuzina dzieci do wychowania i nie widziałem przyjemności w budowaniu kościołów, jak niektórzy z moich sąsiadów. Nie miałem również najmniejszej ochoty iść za ich przykładem, kiedy w niedzielę robili konno trzy mile, żeby wysłuchać kazania. Dwa razy do roku odbywało się *shouting*, czyli innemi słowy, wycie; jest to zgromadzenie mające na celu podniesienie ducha. Wznoszą rodzaj estrady i z pół tuzina kaznodziejów mówi po kolei o przeznaczeniu, pokucie, potępieniu i innych równie miłych tematach. W przerwach śpiewają psalmy. Słuchacze przybywają z okręgu dwudziestu mil i obozują dookoła świątyni, przywiązując konie do drzew. Po upływie czterdziestu ośmiu godzin, głowy zaczynają się zapalać. Wierni jeden po drugim wstępują na estradę i głośno spowiadają się z grzechów; rozlega się płacz i łkanie. Dla umysłów osamotnionych i smutnych zbawienne są takie wzruszenia, ale ja pozostawałem chłodny i to mi przynosiło ujmę. W niedzielę zamykałem się w jednym ze swych pokojów na piętrze, zkąd widzieć mogłem, jak czerwone zachodzące słońce kryło się pomiędzy wierzchołki wyniosłych drzew; miałem przy sobie fajkę z Heidelbergu i kilka greckich ksiąg, sprowadzonych z Eton. Czytałem wasze przeglądy i książki, oraz dzieła niemieckie i angielskie. Dawny człowiek zaczął się budzić, czułem się odmłodzony; spotykając się z waszemi poglądami, żywością i płochością umysłu, karkołomnemi wycieczkami w kierunku filo-

zofii i wiedzy, zdawało mi się, że jestem na balu. Pewnego dnia zamiast powrócić do szynek i beczułek, ulokowałem majątek w papierach angielskich i na statku *Persia* popłynąłem do Eurogy.

Dużo podróżowałem, jednakże nigdzie nie doznałem tak gościnnego przyjęcia, jak w Paryżu. Posiadacie w najwyższym stopniu sztukę uprzyjemniania życia i może w tem tylko doszliście do doskonałości, w każdym razie dla człowieka, który chce poprostu bawić się i rozmawiać. Paryż jest rajem prawdziwym. Co prawda, w pierwszych czasach mojego pobytu nieustannie byłem niespokojny; człowiek bogaty, nawet będąc źle zakonserwowanym, podlega napaściom natarczywym. Musiałem oddalić z rzędu aż trzech służących, albowiem moje ładne sąsiadki opłacały ich, aby za ich namową zostać mojemi utrzymankami. I dziś jeszcze uchodzę w niektórych domach za niedźwiedzia, ponieważ nie dałem się nakłonić do małżeństwa. Ale wszystko uspokoiło się potrochu. Wydałem kilka niezłych obiadów i nabrano szacunku dla mojej piwnicy i trufli. Pożyczyłem pieniędzy kilku artystom i literatom i zawsze zapominałem upomnieć się o oddanie długu i tą drogą pozyskałem ich życzliwość. Nie noszę pierścieni brylantowych i nigdy nie mówię o kursach giełdy, tak, że nie uchodziłem za większego aroganta i nudziarza od innych. Wojna w Ameryce wypadła bardzo na czasie i nadała mi rolę poważną: dostarczam szczegółów o północnych i południowych Stanach, rozprawiam szeroko o bawełnie, o prezydencie Dawis i pani domu winszuje sobie, że przysłała mi zaproszenie. Co do mnie,

to bywam w świecie, jak gdybym bywał w teatrze, a nawet chętniej niż w teatrze: lepsi są aktorzy na scenie, zwłaszcza mają więcej subtelności. Po tylu latach spędzonych w Ameryce, jestem przedewszystkiem spragniony subtelności. Mam wygodną karetę, która mnie zawozi i odwozi, zręcznego służącego, który mnie ubiera. Krawiec mój jest gapą i jestem już za stary, żeby być nieśmiałym. Nie potrzebuję starać się o miejsce, ani troszczyć się o zachowanie stanowiska w świecie. Pragnę jeno słuchać i patrzeć; słucham przeto i patrzę. Żadna kobieta nie gniewa się o to, że się jej przyglądają, a żadnego mężczyznę nie obraża to, że go słuchają. Czasami, podczas nakładania paltota, przychodzi mi jaka myśl do głowy, spisuję ją powróciwszy do domu; ztąd powstają moje notatki. W Ameryce nie mogłem się, niestety, nauczyć mówić waszym poprawnym językiem, zachwycam się nim, ale naśladować was nie potrafię. W moich oczach, to jest oczach cudzoziemca, styl waszych świetnych pisarzy przypomina te *articles de Paris*, które tylko prawdziwy paryżanin wykonać potrafi. Umiem jeno zanotować spostrzeżenie, jak ono powstało w mym umyśle, opisać umeblowanie na sposób komornika, oderwanemi zdaniami, przeplatając je uwagami dziwacznemi. Pisałem dla siebie, nie dla czytelników. Niech pan pamięta, że otrzymawszy wychowanie w Niemczech, żyłem wśród ludzi biblijnych i w handlu olejem; odrzuć pan z tych bazgrot to, co wyda się panu zbytecznem, resztę zaś może czytelnicy zechcą łaskawie wybaczyć.

ROZDZIAŁ III.

SALON.

Pani de L... stała wsparta o kominek, nachylona nieco nerwowym ruchem, z którym jest jej tak bardzo do twarzy, z ożywionemi oczyma i ślicznym uśmiechem, ale jakim uśmiechem! Wysmukła jej kibić, niezmiernie gibka, obciśnięta była suknią z czarnego aksamitu. Okrągłe, śnieżno białe ramię wydawało się jeszcze bardziej świetlane przy tej czerni posępnej, a falujące i wysoko upięte włosy przytrzymane były grzebieniem złotym. Rozkoszna była ta linia żywego, nagiego ciała ponad tem bogatem, ciemnem obramowaniem.

Niema świetnych zebrań bez kobiet w pięknych, balowych toaletach; nie mając zaś sześćdziesięciu funtów rocznie, nikt nie ma prawa ubierać się, ani dekoltować. Prawdziwie piękna suknia ma wartość poematu. Smak osobliwy i dobór staranny

kieruje układem każdej wstążki atłasowej, odcieniem różowych jedwabi, miękkiego, srebrzystego atłasu, blado liliowych materyi, lub łagodnie zabarwionych tkanin, jeszcze bardziej złagodzonych koronką z gipiury, tiulowemi bufkami i drżącemi ruszami. W tem gniazdku z tiulu i koronek policzki i ramiona nabierają przedziwnie miękkiej karnacyi. Jest w tem ogromna poezya, a jak one ją odczuć umieją! Ile sztuki jest w tych pociągających wzrok białych stanikach obciskających talię, w tej niepokalanej świeżości mieniących się jedwabi! Kobiety nie mają wieku przy wieczornem oświetleniu; wobec przepychu ramion ginie zmęczenie rysów. Wiedzą one o tem doskonale.

Dwie przyjaciółki stoją w rogu kominka (czyż byłyby przyjaciółkami dlatego, że kontrast stanowią?): jedna kształtów okazałych, niezmiernie wydekoltowana, ale bez nieprzyzwoitości, z brylantowym dyademem i czemś w rodzaju ducha świętego u gorsu, jasnowłosa i pulchna jak bogini Rubensa, przybrana jest w suknię z blado żółtego jedwabiu, zasianą roztrzępionemi koronkami. Wszystko to drży i chwieje się za każdym jej ruchem; światło wciska się w przepych ramion atłasowych, tak, że zdawałoby się, że tam ma swoje siedlisko, a z wielkich, spokojnych oczu pada spojrzenie pełne pewności siebie, jak u kobiet z epoki Odrodzenia.

Tamta, w sukni aksamitnej, wyciętej w karo, według mody z czasów Henryka IV, z bertą przepięknych koronek, okalających ją jak kameę, pyszną ma głowę namiętnej żydówki, z dyademem włosów czarniejszych od piór kruka. Wokół szyi czarne

kolie; we włosach nad czołem czarna egretka. Obfite i błyszczące loki opadają na szyję, a czarne źrenice rzucają iskry, jak oczy hiszpanki Kalderona.

Trzeba patrzeć na to wszystko ze stanowiska artysty, rozkoszować się przez jedno mgnienie, jak przemijającem złudzeniem, olśniewającem zjawiskiem, ktore się niebawem rozwieje, gdyż inaczej za silne byłoby wzruszenie i zaczęlibyśmy pojmować miłość na modłę ludzi z XVI wieku.

Po chwili zastanawiałem się nad tem, co kryje się pod tą osłoną. Pierwsza—artystka znakomita, zamęcza męża fortepianem, koncertami, gamami; ja spożywam owoc, on dostaje pestkę. Druga jest ze swoim mężem poróżniona; widują się raz na dzień przy stole. Strój jest przyczyną nieporozumień małżeńskich; założyłbym się, sądząc z miny męża, że się pokłócili wczoraj. Mają sześćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu, a rachunek modystki wynosił osiemnaście tysięcy. Trzeba było użyć spowiednika, ażeby powstrzymać rozrzutność tej pani. Należy brać tych ludzi za to, czem są w istocie, za aktorki i aktorów, ale najkomiczniejszem to, że to oni płacą, żeby nam się podobać. Nie łatwo jest wszakże utrzymać się na tym punkcie widzenia. Ogarnia nas złudzenie, wyobrażamy sobie wzniosłość, szczęście; schodząc ze schodów mamy całą operę w głowie. „Drżą w nas ustępy z romansów". Jak trafnem jest to wyrażenie Musseta! A potem jakże dziwnego doznaje się wrażenia, patrząc o północy przez okno karety na ludzi kroczących po chodnikach lepkich od błota i wilgoci.

Czarne niebo zasiane drżącemi płomykami ga-

zu zdawało się ciężyć nad rzeką, jak wieko grobu. Nieskończony szereg świateł wydłużał się w przerwach nierównych, wśród ciszy i nieruchomości, jak pochodnie karawanu. Rzeka poruszała się niedostrzegalnie, straszna i posępna. Paliły się jeszcze lampki na łodzi praczek. Biedaczki, żeby zarobić cztery *sous* piorą bieliznę, aż do północy!

Powróciłem tam powtórnie, polubiłem ten dom, nie bywa w nim za wiele osób, jest swobodnie, wesoło. Ale też ile rzeczy na to się składa!

Najpierw sto tysięcy franków rocznego dochodu; potrzebne to jest, by módz żyć wykwitnie. Wykwint ten jest starodawny, majątek pozostaje bowiem w rękach rodziny od sześciu pokoleń; ani śladu parweniuszowstwa. Żadnych koteryi, ani ambitnych dążeń; jak od zarazy uciekam od domów, gdzie trzeba grać rolę dworaka i powtarzać wyuczony katechizm. Pan de L... nie zajmuje urzędu, nie ubiega się o miejsce, ani dla siebie, ani dla synów. Jest to epikurejczyk, subtelnie i zlekka ironiczny, ale wcale nie złośliwy, któremu powodziło się na każdem polu. Nic tak jak szczęście, nie czyni człowieka przyjemnym. Oprócz tego, prawie artysta, bardzo oczytany, miłośnik tego wszystkiego, co piękne i miłe; nad wyraz uprzejmy i ujmujący, obdarzony darem mówienia dyskretnych komplementów. Żadnych namiętności lub poglądów głębokich, lecz żywe upodobania, takt nader wyrobiony, nieskończona delikatność w stosunkach z ludźmi, sposób wyrażania

się poprawny, wytworny; możnaby spisywać to, co mówi. Urodził się na wielkiego pana i dworaka.

Był dawniej oficerem marynarki, co zbogaciło jego umysł w fakta, a nie wpłynęło ujemnie na wielkopańskie maniery. Nikt niema tak dystyngowanego, łagodnego obejścia, jak oficerowie marynarki. Nie może być inaczej, żyją z sobą w tak bliskiej styczności, że wszelka niedelikatność byłaby nie do zniesienia. Znałem go właśnie w owej epoce, w Nowym Orleanie.

Słabą jego stroną jest to, że lubi się bawić, ale pragnie bawić się subtelnie, rozkoszować się tem wszystkiem, co wykwintne, z pomocą władz umysłu, wzroku, wszystkich zmysłów.—Kucharz jego jest to artysta. Cztery mniej więcej dania, umiejętnie wybrane i na tem koniec. Zbyt obfite uczty pachną prowincyą, lub parweniuszowstwem. Nie trzeba, aby goście byli już o dziewiątej wieczorem ociężali, milczący, objedzeni jak tuczone gęsi.—Najwyżej dziesięć do dwunastu osób, które znają się, lub mają głośne nazwiska albo talent. Skoro tylko jest ciżba, lub gdy goście nic o sobie wzajemnie nie wiedzą, niema rozmowy, rozmowa zaś żywa, swobodna, urozmaicona, jest najlepszym deserem.—Kobiety postrojone, stanowiące rozkosz dla wzroku, niby wiązanka żywych kwiatów; ani zażenowane, ani wyzywające, umiejące dyskretnie a trafnie mówić o muzyce i literaturze, znające świat, które dużo podróżowały i mogły przez całe życie swobodnie rozkwitać pod skrzydłem troskliwej i przewidującej opieki, wśród ustalonego i wyrafinowanego dostatku. — A przedewszystkiem, rozmowa dowcipna

i różnolita, poruszająca w jednej chwili ze dwadzieścia tematów, przeplatana anegdotami z życia wybitnych ludzi, lub zakulisowych spraw polityki i wytwornego świata, pozbawiona pedanteryi i nietolerancyi. — Wreszcie, nieustanna wymiana grzeczności i komplementów, tak miłych nawet wtedy, kiedy się wie, że są nieprawdziwe, albo zręczny sposób wyrażania uznania lub pochwały w półsłówkach. — Słowem, smak we wszystkiem, na tem bowiem polega umiejętność wykwintnych przyjemności.

Jest to cechą rdzennie francuską i paryzką; naród nie zmienia się łatwo; wnikając w głąb charakterów, powracamy do wieku XVIII.

Nie jest to arystokracya rodu, tytułu lub władzy, ani nawet serca, ale przynajmniej wychowania, dobrego smaku i inteligencyi. Wieczorem, Andrzej Zschokke grał ze zwykłą werwą i bogactwem ornamentacyi; po nim popisywała się młoda panna, wdzięczna i drobna, ubrana w suknię z jasnego jedwabiu. Odegrała walca i nokturn Szopena. Słuchając zastanawiałem się nad tem, jaka przedwczesna kultura mogła wyhodować taki kwiat cieplarniany i tę główkę dwudziestodwuletnią natchnąć odczuciem i zrozumieniem muzyki tak subtelnie bolesnej, tak powiewnej, tak dziwnie wycieniowanej, słodkiej i dzikiej zarazem. Jest to osoba zamożna, dobrego prowadzenia, wychowana tak, jak wszystkie panny, pod skrzydłem opiekuńczem matki w półnieświadomości złego. Jakżeż mogła tak odrazu to wszystko zrozumieć? Wrażliwość nerwów zastępuje wykształcenie i doświadczenie; odgadują to, czego my się uczymy.

Nie trzeba zapominać o mieszkaniu, będącem koniecznym dodatkiem do ogólnej harmonii.

Stary pałacyk wśród cichej, arystokratycznej dzielnicy; niema tam sklepów, ani kramików ulicznych, ani przechodniów zabłoconych; tworzyłoby to plamę, piękny zaś sen o wykwincie i dostatku nie powinien być zakłócony. Ta dzielnica Gabrielle jest prawdziwym rajem arystokracyi; za pałacami ciągną się rozległe ogrody, oddycha się tam prawie wiejskiem powietrzem. Wczoraj, 28 grudnia, łagodny i wilgotny powiew poruszał końcami gałązek, delikatną siatką brunatną, opuszczonemi ku ziemi warkoczami brzozy; słońce w deszczu z purpury znikało w głębi firmamentu, a wązkie, złote promienie, przedostając się przez drzwi wpółotwarte, kładły się ukośnie na tapetach pałacu.

Zachowane zostały olbrzymie, stare schody z XVIII wieku, o rzeźbionej, żelaznej poręczy, któremi trzy osoby wchodzą obok siebie i gdzie można swobodnie roztaczać tak suknie dzisiejsze, jak i dawne stroje *à peniers*. W przedpokoju wiszą zbroje, chińskie wyroby i różne osobliwości, które właściciel pałacu przywiózł ze swoich podróży. Poliurowana stal jataganów i karabinów rzuca piękne refleksy, a lokaje w liberyi z galonami stoją z miną uroczystą i poważną, jak gromada hajduków.

Wielki salon ma dwadzieścia stóp wysokości; można przynajmniej swobodnie w nim oddychać, co jest rzadkością w Paryżu, a co ważniejsze: nic w nim nie razi wzroku. Nie obili go złotem, nie przybrali w posągi, nie upstrzyli malowidłami, jak u milionora świeżej daty, goniącego za pięknem, a osią-

gającego jeno efekt oślepiający. Kilka starych obrazów, ani świętobliwej ani dramatycznej treści; parę portretów znakomitych ludzi lub sławnych kobiet; wszystko jedynie w celu wywoływania przyjemnych i artystycznych wrażeń; wzrok w czasie rozmowy spoczywa na bujnych kształtach pięknej Wenecyanki, która, przechylając głowę, przymierza sznur pereł, od ruchu zaś tego mienią się fałdy jej jasnej, jedwabnej szaty; obicie czerwone o jedwabnych kwiatach, poważną a świetną barwą tworzy tło odpowiednie dla tych wszystkich arcydzieł

Za tym salonem jest salonik przeznaczony dla pań i panien, dziewiczo świeży, zupełnie biały, o cienkich włóknach złota, które wytryskają jak raca, zakwitają i wężowemi sploty okalają na rogach i gzemsach przedziwnie delikatne arabeski, jedwabne, blado różowe firanki opadają miękkiemi fałdami wśród powodzi koronek, fotele z żółtej materyi o błyszczących, haftowanych kwiatach, zagłębiają swe wygięte nogi w dywan puszysty, którego przeznaczeniem jest chronić pantofelki atłasowe i odczuwać szelest powłóczystych sukien. Tu i tam, w rogach pokoju, wznoszą się zielone krzewy wśród migotania się złoceń i w samem ognisku świateł. Arumy opuszczają ku ziemi śnieżne swe kielichy, a dziwne orchidee, o kwiecie różowym jak ciało kobiece, odsłaniają perłowe łono, które drży za najlżejszem dotknięciem.

Wszystko tu dostraja się do tego samego poziomu; prawie każdy mężczyzna i każda kobieta znajdują się na wysokości tej kultury i tego świata, jedne strojem i gustem wykwintnym, drudzy stanowiskiem i wychowaniem. Są to jakby rośliny cieplarniane, dające nam z siebie to, co zawierają najlepszego i któremi rozkoszujemy się przez chwilę, nie zadając sobie większego trudu nad ten jedynie, by przechodząc, odetchnąć ich zapachem.

Zakończyłem wieczór na balu mieszczańskim. Co za kontrast!

Na czwartem piętrze, na ulicy Greffulhe, u szefa biura, mającego dochodu rocznego piętnaście tysięcy franków.

W tym świecie kobiety nie są kobietami; nie mają rąk, ale łapy, miny wulgarne, stroje wulgarne i krzyczące. Nie wiadomo dlaczego, ale wzrok jest znużony i jakby zbrukany tym widokiem. Ruchy są kościste, bez najmniejszego wdzięku. Ludzie ci są poprostu narzędziami pracy.

Wykwintne towarzystwo może się składać tylko z osób, które majątek uwalnia od fachu, lub które siłą geniuszu wzniosły się ponad ciasne ramy specyalności. Ci jedynie mogą mieć poglądy ogólne; tamci są maszynami.

Fach oszpeca. Siedział obok mnie świeżo zbogacony jegomość, były właściciel magazynu; stał się podobnym do chytrego, ordynarnego wieprza; małe oczka świecą się z po za okularów; jest źle ogolony i szpetne kępki białych włosów okalają mu uszy. Umysł ma ociężały, jąka się, szuka wyrazów. Napisał broszurę o bawełnie amerykańskiej i tym sposobem dostał się do piśmiennictwa. Ale przez lat

trzydzieści stał we drzwiach swego magazynu, zginając kark przed wchodzącemi osobami i mówiąc:

— Czem mogę służyć? Jeżeli pani życzy sobie popeliny, to wczoraj odebraliśmy świeży transport. Jest to okazya wyjątkowa i rodzaj, który z pewnością panią zadowoli.

Nigdy się nie zatraca podobnego piętna.

Wszystkie te głowy byłyby możliwe na obrazach Teniersa.

Ale pośród tych złoceń i pod tym świecznikiem!

Dwóch szefów biura: zestarzeli się nad swemi biurkami, temperując ołówki, obgryzając paznogcie, dręczeni w domu przez żony, zmuszeni ze względu na przyszłe posagi córek, oszczędzać na maśle, świecach, opale; pokorni wobec zwierzchników, zaprzątnięci jeno myślą stufrankowej podwyżki.

Sędzia zasuszył się w sali zbyt gorącej, słuchając potoków wymowy adwokackiej, w otoczeniu ludzi o twarzach podłych lub niespokojnych, wśród niezdrowych wyziewów i zapachów wątpliwych, albowiem drobne przekroczenia nie pachną. Przy takiem życiu wydłużają się rysy, wyraz twarzy zamienia się w grymas, człowiek wygląda tak, jak gdyby cierpiał na żołądek lub migrenę; cera staje się ziemista lub barwy mętnej wody; plecy się garbią; ludzie ci nie umieją ani chodzić, ani siedzieć, nabierają tików, są sztywni i jakby spętani. To samo dzieje się z umysłem: stają się niezdolni myśleć śmiało lub swobodnie. Dławi ich obawa kompromitacyi i chęć zysku; nie widzą już rzeczy samych w sobie, ale poprzez interes biura lub sklepu. Gdy

jedwab, koronki lub frak pokryją te nędzne grzbiety, widok ich jest bardzo nieprzyjemny. Są to chodzące kalectwa.

Zawsze i wszędzie wadą życia paryzkiego jest umiłowanie pozorów i brak zdrowego rozsądku Byliby szczęśliwi, a co więcej, sprawialiby miłe wrażenie przy świetle domowej lampy, zagłębieni w wygodnych fotelach, mąż z fają w ustach, żona w białym fartuszku zajęta szyciem. Takim jest obraz zdrowej, rozsądnej egzystencyi Niemców; takiem było życie Flamandów. Francuzi wolą wyrzucać pieniądze przez okno i narażać się na śmieszność

ROZDZIAŁ IV.

BALE PUBLICZNE.

Godzina jedenasta; będę miał wieczór przyjemny. Tylko w Paryżu można się bawić, tylko w Paryżu są bale wesołe, tak mi przynajmniej mówiono w Ameryce.

W Casino, na ulicy Cadet.

Mniej więcej sześćset osób, woń gazu, tytuniu, upał i wyziewy tylu nagromadzonych ciał. Są zakątki, gdzie można pić, rodzaj *foyer*, gdzie się ludzie potrącają i wielka sala balowa z podłogą białawą, skrapianą wodą; gdzieniegdzie ławki, pokryte zniszczonym aksamitem; umeblowanie jak w *chambres - garnies*.

Kilka kobiet ładnych o rysach regularnych, ale wszystkie mają twarze zużyte, zbrukane szminką. Ucztowały, czuwały po nocach; nazajutrz sporo pomady i *cold-cream'u*; wytwarza to cerę wyjątkową.

Głosy są chropawe, przekrzyczane, lub piskliwe. Maryetta z Tuluzy ma w głosie twarde brzmienia, wskutek nadużycia trunków. Nie są to stroje ani gryzetki, ani damy światowej, coś pośredniego, założyłbym się, że połowa mantylek jest wynajęta, albo jutro zostanie zastawiona.

Maryetta ma największe powodzenie. Wspinają się na ławki, żeby patrzeć jak tańczy. Cerę ma ciemną, szeroka w pasie i chuda, ale cała jak jeden muskuł. Tańczy kankana; nosi majtki.

Poci się, obciera twarz chustką, wypręża się jak linoskoczek; podoba się to widzom niezmiernie. Zapewniano mnie, że Maryetta wydaje rocznie dwadzieścia tysięcy franków. Mówi dużo i z werwą, ale słów jej przytoczyć tu niepodobna. Tańcząc, unosi suknię całemi garściami. (Powiedziałem, że używa majtek, muszę to jednakże powtórzyć). Kiedy stopa dosięgnie wysokości oka, dotyka się jej ręką. Oklaski i wrzawa.

Linoskoczki są od niej zręczniejsze, ale ona roznamiętnia publiczność.

---

25 sierpnia.

W Mabille.

Jakże wiele opowiadano mi o Mabille! Młodzi ludzie o balach tych marzą, cudzoziemcy przyprowadzają tu żony. Historycy będą pisali kiedyś o Mabille.

Przejeżdżałem przez pola Elizejskie, które wydały mi się posępne, tonęły w dotykalnych prawie ciemnościach, pełnych pyłu i ciężkich wyziewów:

cygara, lampki, para ciał ludzkich; pośród tych mroków nędzne drzewa, opylone, pożółkłe, chore; tu i tam, drżące płomyki gazu i nieliczne latarnie powozów poruszających się monotonnie i leniwo, niby biedne, świecące robaki. Wszędzie pełno cieni śpieszących, skupionych w gromady, wymijających się, które oświetlone w przejeździe nagłym błyskiem światła, mają wygląd upiorów.

Wśród ogromu tej nocy palą się dwie lub trzy oazy światła i teatrzyki. Kobiety wydekoltowane jak na balu wystawiają swe wdzięki pośród dekoracyi ze złoconego kartonu. Wyszminkowane są, mają wyraz bezwstydny i zakłopotany, sprzedają się na godziny i czują, że publiczność żąda nagości, słucha zaś najwyżej jednem uchem, ziewa, pali cygara, przeciąga się i rozmawia podczas ich śpiewu.

Jedna z nich uśmiechała się z wdziękiem, kładąc rękę na sercu, dla silniejszego zaakcentowania śpiewanego kupletu. Kilkanaście oklasków opłaconych; krzyczą bis, zaczyna nanowo, kłaniając się z wdzięcznością. Sąsiad mój mruczy:

— Kiedyż skończysz, stara wiedźmo?

Do okoła teatralnego ogrodzenia gromada kobiet i robotników wyciąga szyję, żeby dostrzedz śpiewaczkę i zabawić się darmo.

O dziesiątej wchodzę do Mabille. Wielki bal; mężczyźni płacą pięć franków, kobiety franka; dużo policyi; tłum zalega wejście.

Naprzód duża aleja, upstrzona lampkami; następnie grupy drzew, klomby zielone iluminowane. Błękitne płomyki gazu wytryskają z pomiędzy kwiatów. Lampiony, wazony przezroczyste okalają tra-

wniki. Rozchodzi się niewyraźnie woń tłuszczu i oliwy. Drzewa w tem ukośnem oświetleniu zatracają kontury i mają wygląd dziwaczny, trupi. Na widok mniemanych wazonów koryckich, parawanów malowanych na efekt w celu przedłużenia alei, wzruszam jeno ramionami. W głębi tego, niby swojskiego ogrodu, wznoszą się ostre kanty olbrzymiej budowli; stopy bolą od drobnego zwiru. Stanowczo brak mi zapału.

W środku znajduje się kiosk dla orkiestry, która jest wcale niezła. Jednakże kapelmistrz zbyt hałaśliwie takt wybija. Dookoła kiosku jest przestrzeń wyłożona płytami kamiennemi, gdzie tańczą. Tańczą naprawdę, wśród strasznego gorąca, obcierając strugi potu. Podobno mężczyźni są opłacani, kobiety zamęczają się tak zadarmo — dla galeryi, ale czują, że we wzroku widzów jest pogarda. Szczególna przyjemność w przyglądaniu się tańcowi tych dziewek, przeważnie już zwiędłych, o twarzach spodlonych lub wystraszonych, w mantylkach, kapeluszach i czarnych bucikach. Dałoby się im chętnie ludwika, żeby mogły zjeść w kuchni befsztyk i wypić szklankę piwa.

Mężczyźni są jeszcze straszniejsi; podrygują bezwstydnie jak stare rozpustnice, w zatłuszczonych ubraniach, z miną znudzoną i w kapeluszach na głowie. Dookoła nich faluje wielkie ruchome koło: kobiety, z mężczyzną pod ręką, lub same, w białych gazowych sukniach, małym kapeluszu, prawie wszystkie albo za tłuste, albo za chude. Stroje wątpliwego smaku, w których jest zawsze coś rażącego, jak u robotnicy odświętnie ubranej lub modystki, na-

kładającej na siebie zawartość swego magazyną. Słyszy się ciekawe rozmowy; wysoka kobieta, ufryzowana, upudrowana, bardzo strojna, zaczepia jakiegoś jegomościa:

— Ach, to ty, Teodoro?

— Tak. Już powróciłeś?

— Tak.

— Odwiedzisz mnie?

— Gdzie mieszkasz?

— Ulica des Martyrs, 68.

— Zawsze to samo imię?

— Zawsze.

— Kiedy przyjmujesz?

— Po południu.

— A więc przyjdę wkrótce.

— Którego dnia?

— Nie wiem.

— W tym tygodniu?

— Nie wiem.

— A więc, bądź zdrów, podły sknero! Wszyscy jesteście jednakowi.

Dużo cudzoziemców, Niemców, Włochów, zwłaszcza Anglików, którzy głaszczą dziewki pod brodę. Zamieniane są adresy, roztrząsana wartość, jak na giełdzie. Od czasu do czasu szczery okrzyk, płynący prosto z serca: piękna dziewczyna, świeża, w czystych rękawiczkach, sukni jedwabnej blado - niebieskiej, prawie dama, krzyczy głośno, zwracając się do towarzyszącego jej mężczyzny:

— Nie lubię takich żartów, idź pan precz!

Nakoniec znajduję kąt spokojny obok dużego, pustego salonu; są tam ludzie z towarzystwa; jest

to widoczne: ubrani są przyzwoicie i wszystkie części ich stroju zgadzają się z sobą; uprzejmi w obejściu, swobodni, jakby u siebie w domu, żartują, dowcipkują na modłę francuską, zlekka tylko akcentując. Jeden z nich powiedział o tańczących: „Kręcą się, jak zwierzęta w klatce. Są to szranki walki".

Jest pomiędzy nimi kobieta, której mówią po imieniu. Względem siebie pełni są ugrzecznienia, ją zaś traktują lekceważąco. Wysoki mężczyzna, z olbrzymią brodą, miną marsową, zwraca się wciąż do niej z tłustemi konceptami. Śmieją się wszyscy; ona uśmiecha się z pewnem zakłopotaniem. On dalej mówi i kończy *à la Rabelais*; nowe wybuchy śmiechu. Biedaczka nie jest ani źle, ani pretensyonalnie ubrana, umie się znaleźć, ale mężczyźni z tego rodzaju kobietami obchodzą się po grubiańsku. Sprawia im to przyjemność, że mogą sobie pozwolić i deptać po konwenansach, jak w przystępie nadmiernej wesołości tłucze się talerze po kolacyi dla narobienia hałasu. Zarzucić jej można, że się trochę rumieni, że nie jest ani kokotą, ani damą. Z wyjątkiem dwóch lub trzech, które nazwać można genialnemi, wszystkie są wpół-nieśmiałe, wpół bezwstydne, nie umieją *wejść* w swoją rolę.

Jednakże jedna z nich, całkiem biało ubrana w powłóczyste muśliny i koronki, rozmawiała wsparta o krzesło, nie wychylając się zanadto, nie zanadto troszcząc się, aby była widzianą, rozmawiała, wyrażając się poprawnie. Potem wstała, podała rękę otaczającym ją osobom, przeszła sama przez duży salon; lat ma trzydzieści dwa, twarz zmęczoną, ale

sprytną; zgrabne ruchy, nie jest ani onieśmieloną, ani bezczelną.

Przysłuchiwałem się jej przez dziesięć minut; nie mówiła za głośno; widocznie znali ją dobrze wszyscy, traktowali ją bowiem po koleżeńsku; miała w ich oczach wartość mężczyzny zręcznego, znającego świat, który może być użyteczny, umie się znaleźć i potrafi utrzymać się na zajętem stanowisku. Mówiła o Adryanie de Beaugeney, dawnym swym kochanku: „Przygląda mi się i teraz jeszcze, mimo, że jest żonaty. Przedwczoraj odebrał żonie lornetkę, żeby mi się przyjrzeć. Kłania mi się w Bois de Boulogne. Czy to nie jest zabawne?“

Wypowiedziała to bardzo ładnie, bez goryczy, jak osoba znająca życie, nie pozująca na ofiarę. Zapytał się jej ktoś, czy żona pana de Beaugeney nie jest zazdrosna. „Och! wie dobrze, że to już przeszło. Gdyby żony chciały być zazdrosne o przeszłość mężów, miałyby za wiele do roboty. Zresztą, przecież to ja go ożeniłam. Potem jego bratu oddałam tę samą usługę“. — „To też odzywają się o pani z wielkim szacunkiem i uznaniem“.

Urwała; nie rozwodziła się nad wielką dobrocią swego serca, nie jest banalną, ani pospolitą. Zmieniła natychmiast temat rozmowy i opowiadała o jednym ze swych dobrych znajomych, otyłym, krępym, zawsze śmiesznym. Umie prowadzić rozmowę i nigdy nie jest nudną. Jest to niezmiernie rzadkie.

Około północy panował ścisk, jak na jarmarku. Poznano po moich spinkach od mankietów, że jestem bogatym cudzoziemcem; damy ujmowały mnie pod rękę i dłoń moją ściskały; musiałem odtrącić aż dwie zbyt natrętne osóbki.

Chciałem wszystko zobaczyć i udałem się na bal Perron. Wejście kosztuje siedem sous; można przytem konsumować za dwadzieścia pięć centymów. Jest to rodzaj knajpy, tak zwana *quinquette*.

Widywało się takie *quinquette* przy Operze *Comique*, na rysunkach z XVIII wieku, lub u Berangera. Wyraz ten nasuwa nam na myśl sprytne minki, zgrabne czepeczki, wiotkie i gibkie kibicie. Znajduje się tam wesołość i żywość czysto francuska, nieprawdaż? A więc, oto czem jest dzisiejsza *quinquette*.

Setka nędznych gryzetek i z pięćdziesiąt ulicznic, ktore o milę czuć *Saint Lazarem* i prefekturą policyi, o cerze świecącej, wytynkowanej, z płasko zaczesanemi włosami i twarzach bezczelnych lub smutnych. Pewien jegomość mówi do tańcującej klempy: „Czy to personel zakładu *la Salpetriere* przybył dziś na bal do Perron?“ — „Nie to *Mazas* znajduje się dziś na balu Perron“. Trzeba było ich rozdzielić.

Jest to charakterystycznem, że z małemi wyjątkami, wszyscy są wątli i małego wzrostu. Niektórzy mają wygląd dzieci. Wszyscy są wynędzniali i źle zbudowani. Z ojca na syna piją cienkie wino, żywią się nieświeżem mięsem, oddychają zatęchłem powietrzem. Pracują za wiele, żeby za wiele się bawić. Twarze są skrzywione, pomięte, oczy świecą się jak w gorączce. Życie paryzkie przepuściło tych ludzi przez alembik, skoncentrowało ich, przepaliło i zepsuło.

Widzi się tu prawdziwy typ robotnika paryzkiego: bluza niebieska, głowa w tył odrzucona, w tańcu wywija nogami z nieopisaną szybkością. Widoczna jest chęć udawania zucha, dużo próżności i pewien odcień łobuzeryi i zmysłowości. Głowy okrągłe, pełne życia i sprytu. Mogliby być zarówno bohaterami z pod Sewastopola, jak szaleńcami za czasów komuny.

Widzowie piją kawę, palą cygara, pochłaniają lampki piwa, napełniają oczy i uszy tą wrzawą, żeby wypocząć po heblu i dłucie.

Najsmutniejszem jest to, że pośród tej gawiedzi widzi się kilka szwaczek o wyglądzie kobiet uczciwych i kilka rodzin, składających się z ojca, matki, dzieci, które przychodzą patrzeć i nabierają tu przekonania, że przyjemność polega na wrzaskach i pijaństwie.

ROZDZIAŁ V.

RADY DLA MEGO SYNOWCA. ANATOLA DURAND, DOTYCZĄCE SPOSOBÓW ZACHOWANIA SIĘ W ŚWIECIE.

Kochany siostrzeńcze. Posiadam ośmdziesiąt tysięcy rocznego dochodu, choruję na wątrobę i nie mam dzieci. Nie wątpię przeto, że odczytasz moje rady z uwagą jaknajgłębszą. Przewiduję nawet, że będziesz niemi zachwycony i przejęty podziwem dla mojej mądrości. Pochwały przyjmuję zrana od dziesiątej do jedenastej, ale staraj się być oględnym w wyrażeniach.

Nie radzę ci naśladować tegoczesnego poufałego sposobu traktowania starszych krewnych. Gdy byś, naprzykład, poklepał mnie po brzuchu, mówiąc: „Brawo, mój stary, niech żyje wuj literat“ — wywołałoby to fatalne następstwa. Służący mój wyprosił-

by cię za drzwi, lub ja wyrzuciłbym cię oknem na ulicę.

Możesz na biletach wizytowych umieścić imię i nazwisko. Anatol uszlachetni Duranda; koniecznem to będzie, zwłaszcza gdy się ożenisz: Pani Anatol Durand. Takie przydomki dobrze brzmią przy nieszlacheckich nazwiskach. Ale jeśli kiedykolwiek zauważę na twych biletach: Anatol du Rand, lub d'Urand, pożegnaj się z memi dolarami, uzbieranemi w handlu olejem i wieprzowiną.

Za wiele jadasz; masz lat dwadzieścia cztery, a wyglądasz na trzydziestosześcioletniego człowieka. Jednakże takie okazałe postawy mają teraz powodzenie w świecie. Od lat dziesięciu pewien odcień brutalności jest nieodzownem uzupełnieniem elegancyi. Dziś, kiedy kobiety naśladują Magdalenę, dlaczegożby mężczyźni nie mieli być podobnymi do tragarzy?

Łysina bynajmniej nie szpeci; to znak, że się żyło. Ale dobrze jest mieć wtedy gęstą brodę, rumiane policzki, zdrowe zęby, minę buńczuczną i hardą, słowem to, co dowodzi, że się jeszcze żyje. Około roku 1830 modnymi byli egzaltowani suchotnicy, dziś nastały czasy wesołych pozytywistów. Po panowaniu nerwów przyszła kolej na muskuły.

Nie ufaj jednak temu w zupełności. Na trzydzieści kobiet w salonie jest z pewnością dwadzieścia pięć gąsek, szeleszczących szumnie piórkami, których dowcip polega na powtarzaniu zdań, będących w obiegu, lecz znajduje się pięć kobiet sprytnych i te cię osądzą. Przedwczoraj, rozsiadłszy się na różowym pufie, pomiędzy dwiema ładnemi paniami, starałeś się o pozyskanie ich względów; przesuwałeś po czuprynie szeroką, miękką dłoń, ozdobioną pierścieniami; odrzuciłeś na obie strony poły tużurka i wydymałeś pierś wspaniałą; przechyliłeś w tył głowę i z wielkiem ugrzecznieniem jąłeś opowiadać im jakąś historyę, ciesząc się, że cię słuchają i że umiesz mówić tak pięknie. Gdy potem wstałeś z miną wielce z siebie zadowoloną, żeby inne damy obdarzyć uroczym swym uśmiechem, spojrzały na siebie, nic nie mówiąc, zauważyłem jednak, że zaledwie dostrzegalny uśmiech ironii poruszył kącikami ich ust delikatnie wykrojonych, równocześnie zaś od wielkiego wzruszenia ramion zadrgały koronki u staników.

Ze wszystkich znanych mi mężczyzn największe ma u nich powodzenie człowiek sześćdziesięcioletni. (Nie rób znaczącej miny i nie sądź, że mam tu na myśli pana Fryderyka Tomasza Graindorge; pan Graindorge zadługo żył w Ameryce, żeby być czem innem, niż ponurem amerykańskiem zwierzęciem).

Szczęśliwy jegomość, którego radzę ci naśladować, używa bardzo prostej taktyki, tej, co była w modzie w roku 1889: zachwyca się niemi i kocha

je, a one zaraz to spostrzegają. Skoro tylko zbliży się do jakiej kobiety, wydaje mu się, iż jest wobec istoty delikatnej, cennej, kruchej, której dotknąć się można zaledwo końcem palca. Dostraja się do ich poziomu, wydobywa z nich sądy i zdania dowcipne i osobliwe, zręczne słówka, które jakby ze strachu przed obcym człowiekiem nie byłyby się nigdy wydobyły na zewnątrz; śledzi wzlot ich kapryśnej wyobraźni, wystarcza, aby mówić zaczęły, by spojrzał na ich bujne włosy, wargi uśmiechnięte lub nadąsane, żeby został natychmiast oczarowany. To tak, jak gdyby mówił: „Roztaczajcie blask i uśmiechy, w tem jest źródło naszego szczęścia i dowód wielkiej waszej łaskawości".

Przykład ten nie jest zaraźliwy, oto więc dlaczego go przytaczam.

Nie zdradzaj się w salonie, że jesteś znudzony. Nie marszcz czoła, byłoby to niegrzecznie; nie uśmiechaj się do siebie, jest to bowiem oznaką głupoty; nie poruszaj muskułami twarzy, myślanoby, że sam z sobą rozmawiasz; nie rozkładaj się w fotelu, bo to jeno uchodzi w kawiarni; nie pochylaj się zanadto naprzód, wyglądałoby to tak, jak gdybyś się przyglądał swoim lakierkom. Niech korpus i nogi tworzą kąt z czterdziestu ośmiu stopni. Należy przybrać znudzony i bezmyślny wyraz króla podczas uroczystej ceremonii.

W Paryżu człowiek uczciwy kłamie dziennie dziesięć razy, kobieta uczciwa dwadzieścia razy, światowiec sto razy. Nikt nie zdoła zliczyć, ile razy skłamie w ciągu dnia światowa kobieta.

W każdem małżeństwie kryje się rana, jak w jabłku robak.

Badają się przez trzy tygodnie, kochają przez trzy miesiące, sprzeczają się przez trzy lata, znoszą się przez trzydzieści, a dzieci zaczynają *da capo*.

Kobieta wychodzi zamąż, żeby wejść w świat; mężczyzna dlatego się żeni, żeby pożegnać się ze światem.

Kobieta, wygłaszając swój sąd o mężczyźnie, wyobraża go sobie czułym i na klęczkach, nigdy zaś nie widzi go w istotnej jego wartości. Jeżeli wyda się jej śmiesznym w tej postawie, wszystko już skończone, a chociażby był najszlachetniejszym z ludzi, potwornym jest w jej oczach. Unika go przy stole, nie chce z nim tańczyć, dziwi się w duchu, dlaczego nie odeślą go do przedpokoju.

Kobieta szuka przedewszystkiem w świecie męża lub kochanka, jeżeli nie dla siebie, to dla innych,

Wszystkie jej myśli zmierzają do tego celu, jak rzeki do morza.

Kobietę mało obchodzi inteligencya, uroda, istotna zasługa; przyznaje to wszystko, ale tylko słowami. „Podoba mi się“, oto, w czem wszystko się zawiera. To samo ma miejsce, kiedy chodzi o wybór kapelusza, wstążki; „podoba mi się“, to znaczy, że odpowiada moim skrytym upodobaniom, zaspakaja zachciankę czysto osobistą, wyrafinowaną, nawet ekscentryczną. To też zręczna postawa, wesoły frazes, miłe brzmienie głosu, robią na niej wrażenie: słowem, trzeba jej przysmaków, zastosowanych do jej podniebienia. Tak samo, jak gdyby mówiła: „lubię wiśnie, więc jem wiśnie“. Cechą umysłu kobiecego jest to, że z wyjątkiem żywych wzruszeń, wszystkie ich myśli są niewyraźne i zlewają się z sobą. Mężczyzna odbija się w ich mózgach, jak błysk światła we mgle ruchomej i różowej.

Na pierwszym balu młode dziewczę mówi do siebie: „Czy chodzę zgrabnie? Czy się nie przewrócę w tańcu?“

Na drugim: „Czy ładnie wyglądałam? Czy miałam powodzenie?“

Na trzecim: „Oświetlenie było przepyszne, muzyka rozkoszna, tańczyłam nieustannie, jestem upojona“.

Na czwartym: „Czy też podobałam się panu D'Urand, którego wuj handluje olejem i wieprzowiną?“

Bale są pożyteczne, dużo słów pustych, ale dwa dziwne zwierzęta, mężczyzna i kobieta, tak nieskończenie dla siebie tajemnicze, mogą się do siebie zbliżyć i zapoznać.

Dużo jest chorób, spowodowanych gorsetem. Ciała są wątłe i zbyt wązkie ramiona. Na cztery kobiety dwie nazwać można kośćmi obiecującemi, drugie dwie kośćmi, które nic nie obiecują. Albo jeżdżą leczyć się w Nizzy, albo już w dwudziestym szóstym roku życia dnie całe spędzają na szeslongu.

Z drugiej strony, jeżeli twa narzeczona ma różowe policzki i oczy naiwne, nie wyciągaj ztąd wniosku, że jest aniołem niewinności, ale że poprostu udawała się na spoczynek o dziewiątej i zjadała dużo kotletów.

Masz różowe paznogcie, nie jest to powód, by drapać się w nos publicznie.

Wczoraj przyglądałem się z wielką uwagą pannie Margarecie S... Świeżo wyszła z klasztoru, nie śmie podnieść oczu, chyba żeby zasięgnąć rady matki; jest pobożna, przesiąknięta pobożnością jak pomadka cukrem, ale ostrzegam cię, że są w tym karmelku niespodzianki. Na jednym balu wymawiała przyjaciółce, że przedstawiła jej pewnego młodego człowieka, który gorliwie uczęszczał do kościoła. „Co w tem widzisz złego? — Nie wiem.— Musisz je-

dnakże mieć powody. — A więc!... — Więc co? — A więc, zdaje mi się, że taki człowiek musi być trochę ograniczony, mieć manie". Zkąd u dyabła wyłoniła myśl podobną? Czyżby wyniosła ją z klasztoru? Jest to niemożliwe. Może znalazła w jakiem piśmie? Nie czyta żadnego. A zatem w książce? Książki, które dają jej do ręki, starannie są wybierane, nożyczkami zaś wycinają z nich drażliwe ustępy. A więc z rozmowy? Nigdy nie usłyszała, ani wypowiedziała żadnego słówka w nieobecności matki, ciotki lub babki, trzech nieodstępnych a groźnych arguzów. Może być, że na jakim balu zauważyła w podobnym wypadku uśmiech złośliwy. Było to wystarczającem, najdrobniejsza bowiem iskierka pada na takie głowy, jak na beczkę prochu. Kiedy nic nie wiedzą, podejrzewają wszystko.

Oto w jaki sposób trzeba się zachować, kiedy kobieta wstaje od fortepianu:

Jeżeli jesteśmy daleko, należy podnieść w górę ręce do oklasku i przy tej okazyi pokazać spinki od mankietów i ładne swe rękawiczki.

Jeżeli znajdujemy się blizko, można wypowiedzieć całą litanię przymiotników, jak: cudowne, smak wykwintny, temperament, szczere uczucie i t. d. Wyższy stopień polega na posługiwaniu się technicznemi określeniami: zmiana tonu, przejście w ton minorowy, tryle perełkowate. Chcąc zaś uchodzić za znawcę, wyuczyć się trzeba tytułów głównych dzieł mistrzów i wymawiać je głosem przyciszonym, poufnym, niby przysięgły, wstępujący w progi świątyni tajemnic. Poczem nawiązuje się z łatwością rozmowa, następują ćwiczenia prawdziwej artystki, która jest nie mniej zdolna ze sprawności swych palców, jak ze swego dowcipu i przejmuje się wielkim szacunkiem dla pana Anatola Durand, lub d'Urand.

Ostatni sposób — najpiękniejszy, ale trudny do wykonania. Zapamiętać biografię mistrzów, umieć rozróżnić style, mieć gotowe anegdotki na poparcie swych dowodzeń; zaimprowizować ocenę geniuszu Mozarta lub Webera; mówić z naciskiem o subtelności, szlachetności, wdzięku poetycznym i dać do zrozumienia, że artystka ma duszę kompozytora. Tego właśnie pragnęła; jest zrozumianą. Tą drogą wszystko się osiąga.

W salonach spotyka się tylko cztery rodzaje ludzi: zakochanych, ambitnych, badaczy i głupców. Ci ostatni są najszczęśliwsi.

Widywałem tam również i ludzi zasłużonych, ale ci nie cieszą się powodzeniem; mam tu na myśli prawdziwie znakomitych ludzi. Zanadto są własnemi myślami pochłonięci, wtrącają się znienacka do rozmowy, rażą innych i sami są niemile dotknięci. Absorbują wszystkich, ponieważ sami są zaabsorbowani. Nie wyciągaj ztąd wniosku, że trzeba, jak to wczoraj zrobiłeś, pochłonąć dwie filiżanki herbaty, trzy filiżanki czekolady, dwa ciastka i moc kanapek.

Niepodobna egzystować w świecie, nie mając specyalności. Przed ośmdziesięciu laty wystarczyło być miłym i dobrze ubranym; dziś taki człowiek zanadtoby przypominał kelnera. Pospolici eleganci mówią dziś o koniach, wyścigach, hodowli. Radzę ci wybrać za przedmiot rozmowy ekonomię polityczną, co cię wyróżni od reszty mężczyzn, a oprócz tego naucz się deklamować wiersze, gdyż na wsi wywiera to wrażenie.

Zawiązując biały krawat, nie przeklinaj tego niemądrego zwyczaju. Salon jest to nieustanna wystawa, ty zaś towarem; musisz się przeto wystawiać na pokaz.

Jedynem złem w tym wypadku jest obłuda. Jesteście psami, goniącemi każdy za swoją kością; nie przeczę, że konieczny jest posiłek, ale na Boga! nie mówcie, że pogardzacie kośćmi i jeżeli to możebne, nie wyszczerzajcie tak na siebie zębów.

ROZDZIAŁ VI.

PARYŻANKA.

I.

4 października.

Spędziłem dwa miesiące w Niemczech; po powrocie wszystko mnie dziwiło. Spotyka się zupełnie inny rodzaj kobiet.

Wczoraj kupiłem parę rękawiczek, których nie potrzebowałem, herbatę, której nie lubię; herbata nie różni się od ziółek, mimo to mam niemal ochotę kupić jej jeszcze, warto bowiem zapłacić, by przypatrzeć się tym, co ją sprzedają.

Dwie młode panny wyszły na moje spotkanie; miały ruchy wielkoświatowej damy; ciało płynęło spokojnie, nie zdradzając poruszania nóg, suknie jedwabne wydawały szelest dyskretny. Nie mogąc połapać się wśród powodzi nazw chińskich, prosiłem

o objaśnienia; podano mi krzesło; chciałem przyjrzeć się ich zgrabnym gestom, przysłuchiwać się ich szczebiotowi. Ani śladu zakłopotania lub bezczelności: głos łagodny, o miękkich modulacyach, ruchy zręczne i pełne wdzięku, sposób bycia dobrze wychowanej pani domu. Nie wypływa to z wyrachowania — jest to im wrodzone; lubią podobać się, jak lubią ubrać się zalotnie, nadawać połysk włosom, przyozdabiać staniki morą, nosić białe mankiety. Są nieco za blade, czuwają zbyt długo w nocy w dusznym pokoju, przy zbyt jaskrawem świetle i wówczas uciekają się do pudru; jeszcze jedno więcej podobieństwo z damą światową. Dalibóg! pod żadnym względem nie stoją od nich niżej. Te same dążności i pojęcia. Wiedzą o tem. To też we Francyi panna służąca nie wątpi w głębi duszy, że dorównywa we wszystkiem swej pani. „Nie jestem ani głupszą, ani brzydszą; gdybym miała jej stroje, pokazałabym, co potrafię.“ Istotnie, pod wpływem dystyngowanego kochanka, zmieniają się w sześć miesięcy do niepoznania; uczą się z łatwością wszystkiego, nawet ortografii; spryt i wymowa są im wrodzone, co zaś do uczuć, nie stoją na niższym poziomie od swoich nauczycieli.

Nie mówię tego przez ironię, ale jest w nich dużo dobrego: stanowczość i jasność umysłu, zdolności administracyjne, w potrzebie wytrwałość i odwaga. W godzinę potem zaszedłem do innego magazynu. Przez piętnaście godzin z rzędu młoda kobieta siedzi w klatce oszklonej, prowadząc rachunki. Melassa, skóry, porcelana, subiekci, służąca, dzieci, wszystko to jest pod jej dozorem; rozkazy

jej są stanowcze, książki w porządku; wszyscy muszą jej być posłuszni; jest to zdolny porucznik, zdolniejszy nieraz od swego kapitana. Kupiec często ulega namowom, z początku gniewa się, odmawia, lecz w końcu nuży go rozmowa; jeżeli przeciwnik obstaje przy swojem, zaprasza na dobry obiadek, mógłby go z łatwością przekonać, ale wówczas żona daje znak ręką, kupiec zrozumiał, zaczyna się cofać. „Jeszcze nie wiem, odłożę to do jutra, pomówię z żoną.“ W nocy wysłuchać musi kazania, a nazajutrz jest opancerzony w nieufność i nowe argumenty. W razie gdyby nie zasięgał jej rady, wychodzi z za kantoru, wtrąca się do rozmowy: „Ależ mój drogi, wiesz przecież, że...“ I dalej rozwija swe wywody, od jednego zamachu zdobywając plac boju. Utrzyma się na zajętem stanowisku przez całą godzinę i w końcu cięte jej słowa, wypowiedziane ostrym, przenikliwym głosem, zamkną buzię najzajadlejszemu przeciwnikowi. Chodzi tu o interes—nikt nie mógłby jej przekonać; pojęcia są silnie zakorzenione w jej mózgu—chcąc je zmienić, trzebaby zmienić całą jej istotę. Umysł męzki zdolny jest rozumować, kobiecy nigdy. Znam takie, które z mężów zrobiły swoich subiektów, ze względu na dobro magazynu; on, bez surduta, przybija paki, załatwia posyłki; ona chuda, śniada, stanowcza, wydaje rozkazy, decyduje o wszystkiem. Jeżeli chodzi o guziki, ma na tyle sprytu, żeby obmyślić guzik najmodniejszy i najtańszy. Zdaje mi się, że największą chwałą Francuzki jest być właścicielką kawiarni, naturalnie, pięknej kawiarni: być ładną, dobrze ubraną, uśmiechać się, sprzedawać, być miłą przez pięć minut dla

każdego w sali, która jest jednocześnie sklepem i salonem.

Taka kawiarnia paryzka jakże dokładnie maluje paryżanina z jego instynktami i zwyczajami. Przed dwoma tygodniami byłem w Norymberdze; na pożegnanie znajomi zaprosili mnie do knajpy, gdzie bywają również ludzie przyzwoici. Szczególne miejsce rozrywki! Zbiorowisko ludzi ze sfer najrozmaitszych, w tużurkach, bluzach, którzy w chmurze dymu, wśród oszołomiającego gwaru rozmów i dusznej atmosfery, piją, palą, plują, wspierają brodę na łokciach. Czują się tam w swoim żywiole; zmysły ich są przytępione; to ciężkie powietrze wywiera na nich wrażenie ciepłego, zatłuszczonego paltota. Przyjemność ich polega na duchowej martwocie. Palą z flegmą fajki, lub mówią kolejno, nie przerywając sobie. Wyglądają jak zakrzepli. Nim zdobędą się na odpowiedź, czekają z ćwierć minuty. Widać, jak zegar wewnętrzny zaczyna się poruszać, jedno kółko popycha drugie, aż na koniec po kilku wahaniach bije godzina. Nie są wrażliwi na żywsze słowa; niby niedźwiedzie, sadłem podszyte, nic odczuć nie mogą z powodu tego naturalnego materaca. Trzeba widzieć ich kobiety, które jakże różnią się od Francuzek! Dwie z nich, matka i córka, właścicielki knajpy, kręciły się po sali. Córka, młoda dziewczyna, pulchna i rumiana, patrzała gościom prosto w oczy, z pełnem szczerości zapytaniem, myśląc jeno o piwie; matka wysoka, tęga, z miną dobrodusznej jałówki, zajętej przeżuwaniem, nie wstydziła się bynajmniej swego błogosławionego stanu. Wyobrażam sobie, ileby to wywołało dowcipów w kawiarni paryzkiej. W pokoju na górze z piętnastu młodych ludzi, subiektów, urzędników, studentów, siedziało około podłużnego stołu. Odłożyli fajki i wyjęli z kieszeni kajet z nutami; na dany sygnał rozległa się pieśń chóralna, poważna, klasyczna kompozycya Bacha. Wzruszone kobiety obcierały oczy fartuszkami. Co więcej warte: ładna suknia, czy podobne uczucie?

To zależy—czasami wolę homara, a czasem ostrygi.

II.

Francuzka nieporównaną jest jako kwiaciarka, dama światowa i kokota, ale wyróżnia się jedynie na tych trzech stanowiskach.

Wypływa to z temperamentu. Odrzućmy koafiurę, strój, całą stronę zewnętrzną i przyjrzyjmy się wewnętrznej istocie. Jest to rodzaj małego huzara, zuchwałego ulicznika, nie odczuwającego szacunku dla nikogo, którego nic nie może onieśmielić, lub zbić z tropu. Naprożno ubrane są w spódniczki, trzeba spejrzeć im w duszę. Zdaje się nam, że wpajamy w nie w domu poczucie skromności; przybierają jej pozór jedynie, a i ten znika po trzech miesiącach małżeństwa lub bywania w świecie. W mózgach ich zbyt żywo i jasno rodzą się myśli; natychmiast postanowienia są zrobione i powstaje czyn. Nie znoszą subordynacyi; uderzają się o prawa, tak, jak ptak o ściany klatki.

Naprzykład mąż chodzi po pokoju, rozmyślając nad tem, jak spędzić wieczór; żona zniecierpliwiona

wstaje nagle jak pod działaniem sprężyny i zapytuje ostrym, wibrującym głosem: „Czegoż się tak kręcisz, jak zwierz w klatce? Kiedyż to się skończy? Ach, ci mężczyźni, te ciemięgi niezdecydowane!“ Ona nigdy się nie waha, nie pojmuje długich namysłów.

Przy stole ojciec mówi, że lubi jakąś potrawę; córka przerywa mu: „Wziąłeś to po mnie, papo“. W szesnastym roku życia uważa bezwiednie siebie za główną osobę w domu, około której wszystko się obraca.

Najmłodsze dziecko trzyletnie bawi się w kącie lalką. Wchodzi wuj i pyta się dziewczynki, co tam robi w kącie: „Otwórz oczy, wujaszku, to zobaczysz“. Mając zaledwie trzy lata, już daje wujowi do zrozumienia, że jest idyotą.

Z drugiej strony widziałem, jak niejedna z nich w chwili wielkiego bankructwa, kiedy mężowie siedzieli w osłupieniu, z opuszczonemi bezradnie rękoma, wołała: „Nie czas na łzy; dzieciom potrzeba chleba. Zostanę damą sklepową. Idź po książki, sprawdzimy rachunki“.

Albo ta wiwandyerka, której syn pada przeszyty kulą, nie płacze, podnosi karabin i mierzy w nieprzyjaciela: „Ach, te łotry“.

W istocie, kobieta we Francyi jest mężczyzną, ale przepuszczonym przez alembik, bardziej wyrafinowanym i skoncentrowanym. Posiadają, jak my, zdolność do inicyatywy, werwę, zamiłowanie do życia towarzyskiego, namiętne upodobanie w rozrywkach, ale są bardziej nerwowe i wkładają we wszystko więcej zapału.

Słowem, mogą zajmować te same co my urzędy, ale odpowiadają im najlepiej te, co są bardzo wyrafinowane, gdzie potrzeba kierować grą namiętności, badać charaktery, gdzie się walczy i panuje, ale nie siłą brutalną, lecz zręczną dyplomacyą:—ambasadorowa, kupcowa i kurtyzana. Powiedzcie mi, czy jest miejsce na świecie, gdzie salony, sklepy i alkowy, są bardziej uczęszczane niż w Paryżu? Peruwiańczyk, Rumun, Anglik posępny, dorobkiewicz, wszyscy się tu osiedlają, albowiem rozbudza ich paryżanka. Posiada do tego celu aż dwa talenty:

Pierwszy talent: umiejętność mówienia, słuchania i wywoływania dwuznaczników. Każdy mężczyzna to lubi, ponieważ w przyzwoitych towarzystwach takie rozmowy są wzbronione. Przyzwoitość męczy go, jak frak, lub sztywny kołnierzyk. Potrzebuje, jeżeli nie rozebrać się do naga, to przynajmniej zmienić wierzchnie ubranie. Konieczność ciągłego hamowania się wywołała w nim głuchy bunt wewnętrzny. To temu ulicznikowi kurtyzana otwiera drzwi więzienia, on zaś wywraca wtedy kozły na dywanie z prawdziwą uciechą, tembardziej, że dywan jest przepyszny, meble wykwintne, pani domu jeżeli nie piękna, to bardzo strojna, a w każdym razie ubrana tak, jak dama światowa. Dowcipne słówka płyną z jej ust. Mówić tłuste koncepty w sukni balowej, co za przyjemność! To też poważny ulicznik we fraku, o którym mówiłem przed chwilą, przybiega tu tak, jak ongi po jabłka do cudzych ogrodów.

Drugi talent: paryżanka jest osobą, nie od rzeczy. Umie mówić, chcieć, rozkazywać, wodzić za nos

mężczyznę, umie odciąć się żywo, nalegać, kaprysić. Nie pamiętam już jaka podrzędna aktorka zeszłego stulecia zdjęła swemu kochankowi, staremu księciu, order Św. Ducha, mówiąc: „Klęknij na tem i ucałuj mój pantofel, stara mumio!“ Inna znów prosiła swego protektora, żeby jej dom podarował. W trzy dni potem dostaje od niego pugilares, otwiera go i widząc same banknoty, rzuca je kochankowi w nos: „Nie prosiłam cię, stary egoisto, o pieniądze, ale o dom; nie chciało ci się kupić go samemu“. Bardzo był tem zachwycony, nie jest bowiem przyzwyczajony do niezależności. Tylko Francuzka może zdobyć się na coś podobnego. W Londynie kobiety z Cremorn-Gardens są albo waryatkami, które tylko pić i paplać potrafią, lub pełnemi powagi kupcowemi, zajętemi handlem. W małych domkach na przedmieściu widuje się ładne, przyzwoite dziewczęta, wyglądające prawie na *lady* i marzące jeno o spokojnem życiu rodzinnem, reszta oddaje się rozpuście, ale z nędzy i rozpaczy. W Paryżu pamiętają o zabezpieczeniu przyszłości: to one wyzyskują mężczyzn. Mają salony, tworzą modę, kobiety uczciwe zajmują się niemi, starają się je zobaczyć. Dookoła najsławniejszych grupują się podrzędniejsze i te często otwierają magazyn rękawiczek, wychodzą czasami zamąż.

III.

Pani de B.. jest niezawodnie najdoskonalszym typem pani domu. Czy posiada po za tem jaki inny talent, lub używa innych zabiegów? O godzinie

dziesiątej zasiada w swoim salonie na szeslongu, szczupła, wiotka, w sukni jasno-popielatej, z koronkami okalającemi jak obłok jej śliczne ręce i szyję łabędzią. Coś w rodzaju Joanny z Neapolu Rafaela, tylko jaśniejsza blondynka. Nie jest ministrem, ani marszałkiem Francyi, nie rozdaje urzędów, mieszka daleko za Arc de l'Etoile, a jednakże przybywają do niej z czterech końców świata. Używa dwóch sposobów, żeby przyciągać ludzi: pochlebstwa i dobrej kuchni.

Kuchnia. W pięćdziesiątym roku, często już w czterdziestym, człowiek znużony jest życiem; zdobył majątek i staje się ofiarą nudów. Pospolite przyjemności może mieć za pieniądze, jedyną zaś sprawą jego życia jest troska o zachowanie w świecie stanowiska i powagi, ale ponieważ i to jest troską, a zatem nie może go bawić. Z próżnością pożegnał się już niemal na zawsze, stał się bardziej pozytywnym i jeśli ma dobry żołądek, w tym kierunku zwraca całą swą uwagę: siedzieć w liczbie ośmiu lub dziesięciu osób przy stole wykwintnie zastawionym, obok strojnych kobiet, z wesołymi biesiadnikami, zaprzątniętymi jedynie chwilą obecną; popijać wyborne, prawdziwe wino, długo przechowywane w piwnicy; obgryzać skrzydełko tłustej przepiórki; czuć, jak rozpływa się w ustach soczysty pasztet rybny z truflami. Niejeden myśli w duchu, że nawet aniołowie w niebie są mniej szczęśliwi i błogiego swego stanu nie zamieniłby na żadne zaszczyty tego świata. W przeddzień proszonego obiadu pani domu jedzie do swych dostawców, wybiera deser, pisze własnoręcznie do Isigny'ego, do Neraca,

każdą rzecz sprowadza od specyalistów. Jest to prawdziwa umiejętność; nie skończyłbym, chcąc wszystko wyliczyć.

Pochlebstwo. Wszyscy mówią komplementy, ale głupcy potrafią jeno powtarzać z małemi zmianami: „Ach! jaki pan ma talent! ach! jaka pani ładna!“ Jeżeli osoba, do której się to stosuje, nie jest ograniczoną, pochyla głowę, słucha cierpliwie, dziękuję z przymusem, mrucząc przez zęby: „Milcz, pozytywko!“ — Pani de B... nie wyraża głośno swego zachwytu, ukrywa go raczej. Kiedy ma wypowiedzieć jaką pochwałę, widoczne jest, że się od tego wstrzymuje, obejściem, nie słowami, mówi o swojem uwielbieniu. Wnika w nasze myśli, dopełnia je i z jej pomocą stajemy się wymownymi i w rezultacie jesteśmy bardzo z siebie zadowoleni. Wdaje się w dysputy, ale nie poddaje się odrazu, żeby dać nam dowód naszej niezaprzeczonej wyższości. Kiedy od niej wychodzę, nie wątpię, że mam dużo dowcipu, że opis moich podróży jest niezmiernie zajmujący, że Ameryka jest najciekawszym krajem na świecie, że postąpiłem bardzo rozsądnie, zostając kupcem i fabrykantem, że olej i wieprzowina są miłemi tematami rozmowy i że wypchany aligator nieźleby wyglądał w jej buduarze.

Zdobywa ludzi, uderzając w ich słabą stronę. Na parterze kupcowa i kokota robią to samo, przejęte są tym samym duchem, posiadają tę samą umiejętność i dar, będące wrodzoną potrzebą każdej francuski: podobać się mężczyznom i tym sposobem wyzyskiwać ich.

ROZDZIAŁ VII.

I.

3 czerwca.

Ogród Tuilleries jest salonem, salonem na świeżem powietrzu, gdzie dziewczynki uczą się światowych zabiegów, uprzejmości, przezorności, oraz sztuki podobania się, robienia zalotnych minek, bez narażenia swej godności osobistej. Przysłuchiwałem się dziś dwom, siedmio i dziesięcioletnim, które naradzały się, czy mają zaprosić do zabawy jakąś nowoprzybyłą dziewczynkę. Najpierw przyjrzały jej się dokładnie; sprawdziły, czy należy do ich świata; potem podniosłszy śmiało główki, podeszły do bony, twarzyczki zaś ich wyrażały pewność siebie z pewnym odcieniem skromności, jak przystoi dobrze wychowanej pani domu, która wychodzi na spotkanie gości.

Wiadomo jest, jak należy się wtedy zachowac, figurka zgrabnie przegięta, ramiona w tył cofnięte, spódniczka zaokrąglona, uśmiech konwencyonalny; idzie się lekko na palcach, zamieniając przelotne spojrzenia ze znajomymi; doszedłszy do celu następuje dyg umiejętny, usteczka rozchylają się jak róża rozkwitająca, błądzi po nich uśmieszek uprzejmy, choć z lekka ironiczny i nagle, jak kaskada pereł, płyną miłe słówka.

Starsza ma trzpiotowatą minkę, dobrowolnie trzpiotowatą minkę wytrawnej kokietki salonowej. Nic szczerego; zręcznie wyzyskuje wrażenia, przesadza je i naśladuje. Gra rolę: tkliwość, czy gniew, zawsze pamięta o tem, że jest na scenie. Rzuca się nagle w objęcia bony i pieści ją, wie bowiem, iż wypada być kochającą. Druga ma znów śmiałe, wyzywające ruchy amazonki. Trzecia rozmarzone oczy tancerki przy dźwiękach walca. Gwarzą, szczebioczą, poprawiają fałdy sukien, gładzą loki, jak gdyby miały lat dwadzieścia. Nie pozostaje im nic do nauczenia się, znają swój fach dobrze. Zadaniem matek będzie powściągać je, aż do dnia ślubu.

Czy to ich wina? Matki uczą je od lat najmłodszych kokieteryi. Czyż widuje się dzisiaj prawdziwe dzieci w obszernych bluzach, wygodnych bucikach, szczerze wesołe, czerwone, opalone, hałasujące i biegające swobodnie? Matka byłaby tem urażona, gdyż takie zachowanie dobre jest dla dzieci z ludu. Pierwszą jej nauką było: „Zachowujcie się przyzwoicie!“ Pragnęła, aby córka nie robiła jej wstydu i uchodziła za dobrze wychowaną dziewczynkę; ostrzegała ją, by nie splamiła sukienki, nie

bawiła się z dziećmi źle ubranemi; zachwycała się jej odpowiedziami sentymentalnemi lub złośliwemi. Tak dla córki, jak dla siebie za szczyt doskonałości uważała wdzięk, dobre ułożenie, strój wytworny. Nie lękała się rozbudzać jej przedwcześnie. Bawiły ją jej figle i minki. Nauczyła ją deklamować przed gośćmi bajki, ale przedewszystkiem ubierała ją jak lalkę.

Moje trzy dziewczynki mają starannie zaplecione warkocze, zgrabne paltociki, jedwabne pończochy obciskające nóżki, świeże rękawiczki, żeby grać w piłkę. Spróbujmy powiedzieć matce, iż byłoby lepiej, aby jej córka nosiła bluzę i miała gołe ręce? Pojęcia Francuzki wypływają z jej światowych instynktów: i tu, jak we wszystkiem, zbliżać się trzeba do idealnego wzoru elegancyi.

Ale zato, jakże śliczne są te minki sprytne i rozbawione, te nóżki zwinne, jak łapki ptaków! Cóż to za arcydzieła gracyi, żywości, wytworności! Jakże uroczy jest ich szczebiot, pełen życia i dowcipu! W rzeczy samej idą za wrodzonym popędem swej natury, ja zaś, patrząc na nie, bawiłem się doskonale przez całą godzinę. Ani one, ani ja, nie pragnęliśmy nic innego.

4 czerwca.

Przepisuję tu z powieści pana About wyborny list szesnastoletniej panienki do swej rówieśniczki. Pan About jest czcicielem wieku XVIII, pokrewny duch Woltair'a, Beaumarchais'go i Marivaux, dlatego więc tak znakomicie maluje Francuzki.

Droga moja mała zalotnico!

(Jak one się znają. Jest to tylko możliwe w Paryżu, aby świeżo wyklute z pensyi dziewczątko tak przeniknęło odrazu charakter swej przyjaciółki):

„Nakoniec powróciłam ze wsi. Henryetta też, Julcia i Karolcia również powróciły. Poważna Madzia doniosła mi, że jutro przyjeżdża. Z tobą, bez ciebie bowiem nic się nie może udać, sekstet byłby kompletny? (Zręczny komplement, potem żarcik, wrodzona Francuzom żywość i łatwość stylu, której nie spotyka się w tym stopniu w żadnym innym kraju Europy).

„Mama zadecydowała, że pierwsze zebranie „nierozdzielnych" odbędzie się u nas". (Za rok powie: „u mnie").

„Co to będzie za dzień szczęśliwy! Na samą myśl skaczę z radości. Nie przypisuj czemu innemu kleksa, który mi wypadł z pod pióra w sam środek listu. Poproś papę—niedźwiedzia, aby cię przysłał do nas przed świtem; odprowadzę cię do twojej nory po obiedzie. (Ojciec jest naturalnym sługą; jeżeli jest gderliwy i brzydki, zostawia się go w przedpokoju z parasolami). „Może trochę potańczymy, nagadamy się do woli, a z pewnością uśmiejemy się jak prawdziwe waryatki, a to najważniejsze". (Zaczyna już filozofować i ma słuszność. Jest to filozofia wieku XVIII, wypływająca z jej temperamentu).

„Ułożymy program zimowych przyjemności podług szeroko zakreślonego planu, jak mawiał nasz profesor literatury". (Przy sposobności, lekkie przycinki temu lub owemu). „Mam nadzieję, że widywać się będziemy codziennie aż do naszego zamążpójścia, a nawet i potem". (Myśli o małżeństwie i mówi o niem; w szesnastym roku życia jest to najważniejsza sprawa jej życia, tak jak w ósmym ciastko z konfiturami).

„Ułożyć musimy cały plan kampanii zimowej; mój brat, porucznik, który przyjechał na kilka tygodni, będzie nam bardzo pomocnym. Nie chce wierzyć, iż jesteś sto razy odemnie ładniejsza (komplement). Dziwne i rażące niedowiarstwo u tak genialnego porucznika. (Czyż można zręczniej się wyrazić?) A więc, do poniedziałku, do poniedziałku! Jeszcze jeden kleks. Wyobraź sobie, że to są gorące pocałunki". Za trzy lata, jako mężatka i kobieta światowa, mówić będzie do męża w ten sposób:

— Mój złoty, idziemy dziś na *Don Juana*, zamówiłam lożę, zaklinam cię nie mów, iż nie masz czasu, masz czas, *musisz* mieć czas. Mario tak pięknie śpiewa i nie słyszałam go od tak dawna; umrę z rozpaczy, jeżeli go dziś nie usłyszę; dziś koniecznie, nie kiedyindziej! Donieś twemu przyjacielowi, że nie przyjdziesz; głupi jakiś wieśniak z czerwonym nosem! Czyż wolno naznaczać schadzki, zabierać cały wieczór ludziom, kiedy się ma nos czerwony? Jest to postanowione! Skaczę z radości! Ale i ty powinieneś się cieszyć! Będziesz ze mnie dumny; przyjrzyj się mojej ślicznej sukni. No, mój panie, bądź grzeczny, jesteś grzeczny! Nie mów ani słowa! Zamykam ci usta. Czy to nie miło, gdy zamkną nam usta pocałunkiem? Janie, niech powóz zajedzie!

Za lat dziesięć podobna scena, ale z następującemi zmianami:

— Schadzka z przyjacielem w klubie? Już wiem, co o tem myśleć. Dowcipny i dobrze znany pretekst, żeby mnie zostawić samą w towarzystwie lampy. Zawsze ta sama historya: mężczyzna korzysta ze wszystkich przywilejów małżeństwa, kobieta ma same przykrości. Niech żona haftuje, jak za panieńskich czasów, mąż niech się bawi, jak to robił przed ślubem! Sądzisz może, iż nie wiem, że twoje *rendez-vous* jest w Bouffes-Parisieens lub gdzieindziej? Zresztą masz racyę, najszybciej załatwiają się tam interesy, a zwłaszcza płacą rachunki. Ładne rachunki, nie ma co mówić! Dobrze przyjrzałam ci się w teatrze. Śpisz podczas muzyki i tylko balet cię ożywia. A zatem wolę być na operze sama, aniżeli z bałwanem handlowym, lub kłodą filozoficzną, której ideałem są różowe trykoty. Jakżeż zawiedzone i biedne jesteśmy! Dobrej nocy panu! Janie, każ zaprzęgać!

3 czerwca.

Skończyłem czytać romans pana About. Jest to utwór bardzo dowcipny, udatny i rdzennie narodowy.

Kapitan Bitterlin, ojciec dziewczęcia, do którego list powyższy był pisany, rzekł raz do córki, widząc ją przy stole zamyśloną:

— Baczność! robisz oko do karafki.

Jest to brutalne, ale prawdziwe; w głębi duszy jest kokotą.

Ta sama panienka odzywa się w ten sposób do ojca:

„Ojczulku, zakochałam się w młodym człowieku, którego i ty pokochasz, gdy go poznasz, ale pokażę ci go tylko pod warunkiem, że mu krzywdy nie zrobisz. Mając dwadzieścia cztery tysiące franków posagu po matce, mogłabym się obejść bez twego pozwolenia, ale jestem przywiązaną i posłuszną córką".

Wszystkie mają wrodzoną stanowczość i procz cech kokoty, jest w nich coś z zuchwałości dragona. Prawdziwa skromność, naiwność dziewicza, nieśmiałość, wywołująca rumieniec i pełne wdzięku zalęknienie, nieznane im są zupełnie, lub opuszczają je bardzo prędko. Są to może kwiaty, ale kwiaty te rozkwitają od pierwszego słonecznego blasku; od drugiego promienia zanadto roztwarte są ich kielichy; dziewczę znika, pozostaje kobieta, będąca często prawie mężczyzną, czasami więcej niż mężczyzną. Od lat czternastu zaprawiają się do rządów na własnym ojcu i rodzinie.

Córka doktora B... oznajmia mu pewnego wieczoru, że pójdzie na ślub swojej przyjaciółki.

— Ależ masz dziś gorączkę.

— To nic nie szkodzi.

— Leżysz przecież w łóżku i drżysz.

— Ubiorę się ciepło.

— Ludwisiu, dostaniesz znów gorączki.

— Ojczulku, jeżeli na ślub nie pójdę, dostanę gorączki z wściekłości.

— Moje dziecko, nie znałem dotychczas tego rodzaju gorączki, zbadam tę nową chorobę, napiszę

uczony referat i zostanę wybrany na członka Akademii.

— Ojcze, ja muszę być na tym ślubie.

Ojciec uległ; czyż wola pięćdziesięcioletniego człowieka może oprzeć się woli dwudziestoletniej? Powróciła wyczerpana i chora o pierwszej godzinie zrana. Biedny ojciec pielęgnował ją przez całą noc; w ciągu dnia zrobił pięćdziesiąt siedm pięter, to też gdy go spotkałem nazajutrz, wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Są za inteligentne, zbyt wcześnie rozbudzone, zanadto skłonne do podchwytywania cudzych słabostek i śmieszności, a z drugiej strony, za samowolne, przedewszystkiem zaś mają za wiele gwałtownych zachcianek i nieprzepartą potrzebę pochlebstw, adoracyi, oraz silnych i przyjemnych wrażeń. Uznanie cudzej wyższości i wrodzona naiwność, z których wypływa poczucie subordynacyi, są im najzupełniej obce. Nie umiałyby poddać się rozkazom, ani kogokolwiekbądź uszanować. Oto dlaczego głównem zadaniem wychowania jest powstrzymywanie ich od zbyt wczesnego rozwijania skrzydeł do lotu. Znam rodziny, gdzie wcale nie przyjmują młodych ludzi, gdyż to mogłoby podsuwać pewne myśli. Wyjątek tylko jest zrobiony dla narzeczonego, ale dopiero od chwili, gdy został przyjęty przez rodziców. Pani de M... mawiała z dumą: „Moja córka (ma lat dwadzieścia) nigdy nie wyszła sama na ulicę, nigdy nie spędziła godziny, tak w dzień, jak w nocy, zdala odemnie lub swojej guwernantki".

Wszystko to jest dowodem, że jesteśmy w sąsiedztwie Włoch. Klimat wpływa na rozwój przedwczesny i na rozkiełznanie wyobraźni. A zatem potrzebny jest klasztor, klasztor prawdziwy, lub dom rodzinny, urządzony na modłę klasztorną.

Doktór B. twierdzi, że na niektórych pensyach usunięto profesorów, nawet brzydkich i starych. Znajdowano na kajetach panienek: „Kocham cię, uwielbiam" pod adresem tych śmiesznych postaci. Pensya panien jest szkołą kokieteryi. Emulacya, tak zbawienna dla mężczyzn, zgubną jest dla kobiet; rywalizują tak co do zadań szkolnych, jak co do stroju; próżność i ciekawość przybierają olbrzymie rozmiary, ku większemu utrapieniu przyszłego męża.

Przyjrzyjmy się im we dwa lata po ślubie, to będziemy wiedzieli, co kryło się pod tą skromną powłoką. Pani B... miała trzy córki, wychowała je pobożnie, zamykała je w pokoju nieopalanym z książką w ręku lub robotą. Gdy je poznałem, miały skromne minki, oczy spuszczone i wygląd osób zdrętwiałych. Po upływie roku rozruszały się i nabrały pewności siebie. Najstarsza, która dawniej milczała, teraz kąsa i szczeka z pod opiekuńczego skrzydła męża: nikt nie potrafiłby powiedzieć bardziej zjadliwego komplementu. Średnia poślubiła dyplomatę humanitarnych przekonań, wygłasza przeto przy stole jego poglądy filozoficzne i religijne, ale czuć w tem papugę wyuczoną: myśli są męża, tylko przeistoczone, zepsute, powtarzane bez logicznego związku. Pracuje obecnie nad broszurą o udoskonaleniu kobiety i jej przyszłością. Trzecia, anioł z wyglądu, spędziła tydzień w Brighton w towarzystwie oficera. A znałem ją taką skromną i niewinną poczwarką!

Na balu.

Przypatrzyłem się głowom; z wyjątkiem dwóch panien G. nie sympatyczne robią wrażenie; żywość zbyt gwałtowna, ton stanowczy, samowola, pewien rodzaj oschłości i ograniczoność; umysł powierzchowny i zawsze gotowe zdanie konwencyonalne. Trochę aktorki i trochę księżniczki. Ubierają się dobrze, mają dużo dowcipu, ale kłamią za wiele.

ROZDZIAŁ VIII.

PANIENKI.

II.

15 czerwca.

Wizyta u mego przyjaciela S..., szefa wydziału w ministeryum; trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu. Mieszka w Ville d'Arsay, w świeżo odnowionej willi, z łączką szwajcarską o siedmiu drzewach. Dwie córki, piętnasto i szesnastoletnia, używające świeżego powietrza w nowych rękawiczkach, tiulowych pelerynkach, bucikach obcisłych i gorsecie, noszonym od godziny ósmej zrana. Kochają mnie bardzo; zawsze mam dla nich w kieszeniach cukierki i różne drobnostki.

— Ach, oto pan Graindorge—mówi pani S. — Dzień dobry kochanemu panu, jak to ładnie, że

pan nas tak prędko odwiedził! Pokażemy panu naszą chatkę. Och! chatka prawdziwa! Ale jest trochę zieloności. Te biedne dzieci tak potrzebują wiejskiego powietrza! To też ciągle są na dworze i w ciągłym ruchu. Nic nie krępuje ich swobody: skromne sukienki, jak dla dzieci siedmioletnich. Tak są jeszcze dziecinne, nie może pan sobie wyobrazić, jakie to dzieci! Czy uwierzy pan, że wczoraj Joasia, czytając historyę Ludwika XIV, zapytała się: „Moja mamo, jakżeż on mógł kochać tę la Voillère, kiedy był żonaty? Byłoby to przecież wielożeństwem". To ona powiedziała mi mając trzy lata, gdy jej opowiadałam o Bogu, który jest w niebiesiech: „To tak jak ptaki, a zatem ma także dziobek?" Już umiała wyciągać wnioski i rozumować. Ach! panie Graindorge, jakie to szczęście być matką! Starzy kawalerowie nie domyślają się nawet, jak wiele stracili. Mój mąż powtarzał mi to dziś zrana. Tyle ma wrodzonej galanteryi. Ale i panu nie brak jej również i zawsze jesteśmy niezmiernie radzi mieć pana u siebie. Ach! jakże dziś gorąco! Ale, niechże pan siada".

Skłoniłem się. Bawię od lat sześciu we Francyi, a wciąż jeszcze czuję się zakłopotanym wobec gwałtownego wylewu uprzejmości paryzkiej.

Zabrzmiały gamy i pasaże.

— To Joasia. Widocznie są w gniazdku, które sobie urządziły. Wejdźmy, powie nam pan swoje zdanie, moje córki mają tyle gustu!

Istotnie, trudno sobie wyobrazić gniazdka bardziej ponętnego i wykwintnego. Cały pokój obity jest materyą białą i niebieską o niezmiernie delikatnym odcieniu; wązkie złote obramowanie otacza

i wije się wokół źwierciadeł. Strzeliste szklane wazony roztwierają swe śnieżne kielichy pełne wonnego kapryfolium, róż i azalii, pokrytych jeszcze rosą. Złagodzone światło przenika przez opuszczone rolety, rozpościerając się na dywanie, jak zasłona z mgły świetlanej. Na stole kilka albumów rozrzuconych w nieładzie artystycznym; na dwóch rogach kominka szkice podpisane pierwszemi literami ich nazwiska; jeden tylko obraz, duży portret Maryi Antoniny. Ale jakież mnóstwo kobiecych drobiazgów na etażerkach! Joasia siedzi przy fortepianie, Marta obok niej stoi. Dwa współczesne i najmodniejsze imiona. Marta szczupła, nieco nachylona, wygląda jak uroczy delikatny ptak. Tamta, przebiega od niechcenia palcami po klawiszach, z półuśmiechem na wargach lekko rozchylonych. Obiedwie w sukniach białych w paski różowe, z falbanką pąsową u szyi i u rąk, niby tylko trochę, a jednak, dostatecznie wydekoltowane. Gorąco jest i bawimy na wsi. Obejście ich jest pełne nieśmiałości; odzywają się z pewnem wahaniem, rumienią się za każdem głośniejszem słowem, które im się wymknie mimowoli; odważają się na jakiś ruch żywszy i nagle, niepewne, wahające, powstrzymują go w drodze. Przeczuwa się w nich ogień wewnętrzny, hamowaną wciąż wrażliwość, delikatność i żywość ptaka. Tak wątłą jest ta śliczna istota, że obawiamy się ją skruszyc; tak żywa, że zdaje się nam, iż lada chwila wyfrunie, tak powiewna, iż drży przy każdem poruszeniu loków na skroniach i fałdów sukienki, a nawet od brzmienia własnego głosu.

(Nie zapominaj pan, panie Greindorge, że za miesiąc zaczniesz rok pięćdziesiąty trzeci).

— Nie inaczej, ale właśnie dlatego potrzebuję odmłodzić się widokiem kwiatów cieplarnianych. Powoli zostałem ich powiernikiem i powiedziała mi raz Marta:

— Nie chciałby pan przyjść we środę na wykłady? Będzie wielkie zebranie u p. d'Héristal. Och! jest to człowiek bardzo dobrze wychowany, a zresztą mama mówi, że obchodzi się z nami po ojcowsku. Wszyscy tam teraz bywają i spotykam się tam ze wszystkiemi przyjaciołkami. Pan d'Héristal miewa wykłady o szczęściu macierzyńskiem, co nas do łez porusza. A przytem taki przyzwoity i miły! Nigdy się nie gniewa; kiedy zadanie jest źle zrobione, nie wyśmiewa się i pociesza nas, że następne będzie lepsze. A zawsze dobrze ubrany, nieprawdaż Joasiu? Ubranie niebieskie ze złotemi guzikami i lśniąco białe kołnierzyki. Śmiejemy się trochę, że za często przygląda się swoim paznogciom i z wdziękiem wyciąga chustkę do nosa; słowem, jest tak wyświeżony jak kobieta. Bardzo lubimy do niego chodzić, tak nas już bowiem znudziła nasza nauczycielka! Czy przypomina pan sobie pannę Eudoksyę? Miała nos czerwony i szpetne łapy! Nieprawdaż, Joasiu, że wyraz jej twarzy był zawsze słodko-kwaskowaty? — „Moje kochane, zacznijcie nanowo analizę". „Moje kochane, trzymajcie się prosto". „Moje drogie, nie mówcie przy stole!" Istne więzienie. A sposób, w jaki nas zachęcała do gry na fortepianie przy gościach! A zasady! pełne ich miała usta. Ludwika Volant mówi, że zęby jej od tego ciągłego wygłaszania zasad spróchniały. Wciąż zasady! Mogłaby je sprzedawać, jest to jej fachem. Dosyć, że pani Volant zapewniła mamę, iż wykłady są zajmujące i śliczne, uczęszczamy więc na nie od sześciu miesięcy.

— I co tam panie robią?

Przeróżne rzeczy: Ćwiczenia stylowe. Mieliśmy: Śmierć Joanny d'Arc. Rozmowy dwóch aniołów, wzruszonych niedolą ludzi. Matkę klęczącą przed lwem, który chce pożreć jej dziecko. Józefa sprzedanego przez braci. Hymn do słońca. To naprzykład niezmiernie jest trudne. Rozumie pan, hymn do słońca! Na razie nie umiałyśmy nic napisać. Rozpłakałyśmy się, myślałyśmy, że jesteśmy idyotkami. Pan d'Hiristal powiedział, że trzeba przejąć się przedmiotem, rozbudzić wyobraźnię. Wtedy zaczęłyśmy chodzić po pokoju, uściskałyśmy się bardzo mocno, przewracałyśmy oczy jak na scenie i wszystko przyszło samo z siebie. Z początku mogłyśmy zaledwie napisać pół stronicy, teraz piszemy sześć stronic. Jutro rano przed śniadaniem ułożymy naszą odę do słońca.

— I co panie napiszą?

— Och! nie wiemy jeszcze; musimy być same, wówczas mówimy grubym głosem, nieprawdaż Joasiu? A zresztą to zależy. Joasia zawsze opowiada o barankach, łączkach kwiecistych, dzieciach klękających wieczorem na różowych łóżeczkach, aby prosić Boga o błogosławieństwo; ja mówię o piorunach, o błyskawicach, tym zwiastunie skrzydlatym, o grzmotach, które są głosem Wszechmocnego. To bardzo efektowne. Pan d'Héristal jest zawsze zadowolony,

zachwyca się naszym stylem, umieści nas na tablicy honorowej.

— Czy panie odczytują głośno swe utwory?

— Ach! ma pan słuszność, jest to bardzo trudne. Niech pan sobie wyobrazi, że pierwszy raz Joasia nie mogła i płakać zaczęła. Mnie głos uwiązł w gardle, byłam taka czerwona! Ale mama spojrzała na mnie i przeczytałem do końca, nie wiedząc, co mówię; zdawało mi się, że jestem we śnie. Pan d'Héristol powiedział mi kilka słów pochwały; wówczas nabrałem odwagi, wypiłam trochę wody z cukrem i odzyskałam głos i jaki jeszcze! To zupełnie tak, jak na balu, kiedy pod wpływem świateł i muzyki jesteśmy oszołomieni i kręcimy się prawie bezwiednie, ale obracalibyśmy się tak do rana. Ostatnim razem powiedział do nowoprzybyłej, że styl jej jest ciężki; wtedy wybuchnęła płaczem, matka wzięła ją w ramiona i trzeba było cucić ją solami, ponieważ dostała nerwowego ataku; resztę wypracowania sam odczytał; na szczęście, koniec był bardzo dobrze napisany, więc biedaczka przyszła do siebie. Jest to bowiem straszne. Wszystkie spojrzenia są ku nam zwrócowe; matki, ciotki są obecne, czasami nawet ojcowie z lornetką przy oczach, lub monoklem. Miałoby się ochotę wejść do mysiej jamy. Swoją drogą zdarzają się zabawne sceny i przychodzą komiczne figury; przedostatnim razem zjawiła się Angielka, miss Flamborough, czerwona jak rak, z szalem szkarłatnym, któryby do wściekłości doprowadził byka, w kaftanie staromodnym, pokrywającym jej szpetną figurę; nie miała odwagi podnieść oczu; nic nie widziała, prócz swych trzewików i kajetu; będzie to gorliwa uczennica. Tego dnia mama była zgorszona; czy pan da wiarę, że panna d'Estang miała na sobie szal kaszmirowy? Nic podobnego nie widuje się na świecie, noszone są przecież szale tylko po ślubie; ale ona jest Kreolką i nie zna naszych zwyczajów. Zapewniam pana, że całość wywiera ładne wrażenie, prawie takie jak na wieczorze, kwiaty w żardinierach, lokaje w liberyi drzwi otwierają, strojne suknie, a jakie uczesania! Można tu więcej zobaczyć, niż w żurnalach mód. Panna d'Estang miała kolczyki ze szmaragdami, jak te z muzeum Campana. Brat panny Hérié, artysta, narysował jej kostyum zimowy, z czarnego aksamitu z białym puszkiem łabędzim. Panna d'Argelés ma twarz i szyję za długą, ale upina warkocz w kształcie dyademu, żeby poszerzyć głowę, mając zaś ciemną cerę Hiszpanki, nosi suknie granatowe, przybrane haftami i frendzlami, odcinającemi się od stanika. Och! niezadługo już nadejdzie środa! Jeszcze pięć dni: piątek, sobota, niedziela, poniedziałek, wtorek: dwanaście godzin dziennie; nawet dwadzieścia cztery godziny, ponieważ i w nocy o tem marzę. Joasiu, pocałuj mnie, moja najdroższa".

Następnie padły sobie w objęcia i skakały po trawniku jak kozy: wyładowanie siły nerwowej. Za dwa lata całować się będą dla galeryi; wygląda to ładnie i pikantnie; jest to rodzaj kokieteryi, niby wiązanka wiśni, podsunięta pod nos mężczyzn, aby nabrali ochoty owocu tego skosztować. Jeżeli nie wyjdą zamąż, to za cztery lata brać będą w salonie małe dzieci na kolana, pieścić je, nadawać im przezwiska pieszczotliwe na dowód, że potrafią być

dobremi matkami. Nerwy, zalotność, macierzyństwo, nic po za tem nie ma w kobiecie. Odważyłem się zrobić bardzo prostą uwagę, że wykłady pana d'Héristal są daleko zabawniejsze od katechizmu.—„Czy z powodu sukien czarnych lub szarych, które są używane na lekcyach katechizmu? Nie, te lekcye były bardzo miłe; Joasia ze spuszczonemi oczyma miała wygląd madamy. Ale uczyłyśmy się pilnie, nieprawdaż, moja droga? Niech pan sobie wyobrazi, że siedm razy z rzędu była pierwszą uczennicą. W końcu roku dostała wielki medal. Ojczulek nazywał ją magistrem teologii. Ja zaledwie zdobyłam miejsce wśród pierwszych dziesięciu. Wszyscy uczęszczali na te lekcye: panna Eudoksya, mama, a czasami radziłyśmy się ojca, który wskazywał podręczniki, gdyż inaczej nie byłybyśmy wybrnęły z kłopotu. Pani Volant i inne matki siedziały obok córek z ołówkiem i kajetami dla robienia notatek; palce ich biegały prędko, jak konie wyścigowe. Pisały wszystko. Ludwika Volant przyniosła raz siedmnaście stronic o miłości Boga, innym razem dwadzieścia cztery stronnice o powadze Kościoła, z cytatami św. Augustyna. U nas mama notowała koniec, Eudoksya początek, Joasia i ja środek, tym sposobem zapisałyśmy raz trzydzieści dwie stronnice; wieczorami ojciec czytywał nam Bossuet'a; Joasia ma tak dobrą pamięć, że odrazu mogła wyliczyć wszystkie herezye i sobory. A nawet oskarżono nas przed księdzem, ale powiedział, że to bardzo chwalebnie, kiedy rodzice kształcą się w religii. Panny są tak zazdrosne! A tego dnia, w którym Joasia otrzymała medal, matki były wściekłe, a ja ledwo

mogłam powstrzymać się od wybuchów radości i nieustannie mówiłam pocichu: „Medal nie dla was, moje panny, nie dla waszych córek, moje panie, ale dla mojej Joasi". Joasiu, byłaś wtedy piękna, jak anioł".

Potok pocałunków. Jest nadmiar życia w tem dziewczęciu; powinnaby jeździć konno, robić duże spacery, chodzić na pensyę, uczyć się geografii. Ale to nie do mnie należy. Jeszcze jedno pytanie na zakończenie rozmowy:

— A fortepian?

Wybuch śmiechu.

— Dlaczego się panie śmieją? Wychowany byłem w Niemczech i naprawdę przepadam za muzyką?

— Flet, czy basetla?

— Nieznośne dzieci—nic nie umiecie uszanować. Ależ fortepian, fortepian!

— Oto, mój panie.—Wybiega jak sarna, otwiera fortepian i obu rękoma wygrywa gamy z całej siły, śpiewając przytem na całe gardło. — Joasiu i ty wtóruj, dalej żwawo gamy; trzeba panu zrobić przyjemność.

Wiatr powiał z innej strony; skończyły się zwierzenia.

— Moje panienki, bolesną jest potwarz dla czułego serca. Z rozpaczy utopię się dziś w Sekwanie. Miałem najlepsze zamiary i przyniosłem paniom zeszyt utworów Schumana.

— Schumann, Schumann, gdzie jest Schumann? Okładka szaro-żółta, co to za bazgroty na pierwszej

stronicy? Aha, po niemiecku! Co też napisał tu ten pański Niemiec?

— Wskazówki, rodzaj katechizmu dla początkujących muzyków.

— Katechizm? Jeśli tak, to musi być śliczne. Kochany panie Graindorge, niech pan będzie tak grzeczny i przetłómaczy nam to na język francuski.

Podczas mego czytania miny ich były paradne. Otwierały szeroko oczy, ponieważ w tych dwudziestu liniach czuć było powagę, wzruszenie głębokie, które są w Niemczech podstawą wykształcenia muzycznego. Proszę sobie wyobrazić parę salonowych kociąt wobec kraba.

„Kształcenie słuchu jest najważniejsze. Usiłuj od lat najmłodszysz rozróżnić tony majorowe od minorowych. Staraj się określić, jakie jest brzmienie dzwonów, dźwięk szyby w oknie, kukułki i t. d.

„Niektórzy sądząc, że dochodzi się do wszystkiego biegłością palców, poświęcają w późnym nawet wieku kilka godzin dziennie ćwiczeniom mechanicznym. To tak, jak gdyby człowiek wprawiał się w coraz szybsze wymawianie A, B, C. Rób lepszy użytek ze swego czasu.

„Gra niektórych wirtuozów jest pod względem taktu podobna do chodu człowieka pijanego. Nie naśladuj ich.

„Gdy grasz, nie zajmuj się tem, kto cię słucha.

„Graj zawsze tak, jak gdyby cię słuchał artysta prawdziwy.

„Nie wystarcza módz wygrać utwór palcami, trzeba umieć zanucić go bez fortepianu i nietylko zapamiętać melodyę, ale i harmonię.

„Powinieneś dojść do tego, żeby rozumieć muzykę, odczytując ją.

„Nie graj nigdy żadnego utworu, nie odczytawszy go poprzednio.

„Nie grywaj modnych kompozycyi. Szkoda cennego czasu; trzebaby stu ludzkich egzystencyi, żeby poznać to, co jest naprawdę piękne.

„Nie rozpowszechniaj złej muzyki, nie słuchaj jej nawet, o ile nie jesteś do tego zmuszony.

„Uważaj za zbrodnię opuszczanie, zmienianie czegokolwiekbądź w dziełach wielkich mistrzów. Jest to największa zniewaga, jaką można wyrządzić sztuce.

„Szukaj towarzystwa tych kolegów, co więcej umieją od ciebie.

„Prawidła moralności są również prawidłami sztuki; zawsze można się czegoś nauczyć!“

Tu ziewnęły z głębi duszy.

— Ależ, drogi panie Graindorge, jest to wesołe jak pogrzeb. Napisał to zapewne jaki Trapista? Zapomniał tylko dodać: „Bracie, umierać trzeba“. Zaraz można poznać, że Niemcy żywią się kapustą. My nie robimy tyle ceremonii. Uczymy się podnosić i opuszczać kolejno wszystkie pięć palców, *do*, *re*, *mi*, *fa*, *sol*; potem gamy; następnie ćwiczenia: Cramer, Czerny, etc. Gram teraz Czernego, Ludwika Cramera. Wtedy palce toczą się w ten sposób: (białe paluszki wykonały biegle pasaż). Siada się zręcznie, przybiera minę poważną, ot tak (zrobiła minkę najpoważniej komiczną w świecie), podnosi się na chwilę głowę ku sufitowi, ot tak (poprawiła

loczek nad czołem), potem nagle silny akord i bum, bum, bum; niech pan słucha, jest to *perpetuum mobile*.

Tak się bowiem utwór ten nazywał. Galopada trwała z dziesięć minut; zaróżowiły się jej policzki, świeciły oczy; prawdziwy koń wyścigowy. Siostra biła brawo, ja biłem brawo, a również i rodzice. Zapewnialiśmy ją, że weźmie pierwszą nagrodę na przyszłem zebraniu muzycznem u pani d'Héristal i dalibóg, będzie to zasłużone. Podczas obiadu zastanawialiśmy się, że włosy trzeba skarbować i włożyć w torsadę; jesteśmy pewni powodzenia. Była tego dnia bardzo ożywiona i odprowadzając mnie na ganek, podczas gdy całowałem starodawnym zwyczajem rękę jej matki na pożegnanie, powiedziała mi: „Bracie, trzeba umierać!"

Powracając powozem do domu, myślałem o jej przyszłym mężu. Szczęśliwy człowiek!

Tylko takie wychowanie sprzyja podnieceniu nerwów i próżności.

ROZDZIAŁ IX.

MŁODZI LUDZIE.

Temi dniami spotkałem kilku młodych ludzi z najlepszego towarzystwa i chciałem ich opisać; ale myślą przeniosłem się mimowoli do Ameryki i pióro moje nakreśliło historyę młodego Amerykanina, którego znałem dobrze przed laty.

Bawiłem wówczas w Nowym Orleanie i często razem polowaliśmy. O zachodzie słońca płynęliśmy łódką wzdłuż kanału, aż do jeziora Partchartrain; krokodyle w tem miejscu leżą na mieliźnie; strzelaliśmy do nich, mierząc w oczy, gdyż kula ześlizguje się po twardej skórze, lub w brzuch, jeżeli wystawiają tę część ciała, są to bowiem dżentelmeni z przyzwyczajeń i wyciągają się na piasku, jak na otomanie, w pozach bardzo swobodnych. Z drugiej strony, skoro je kula dosięgnie, są bardzo śmieszne i robią w wodzie wolty i piruety, zupełnie jak ba-

letnik na scenie. Myślałem o tem, patrząc wczoraj na pana Mérante, kręcącego się jak fryga. Tylko że krokodyl go przewyższa i w podrzucaniu ogonem zdradza nadzwyczajną fantazyę. Było to nasze ulubione zajęcie, o wiele milsze od bilardu. Przyjaciel mój, Jonatan Butler, strzelał celnie, rozpromieniał się za każdym strzałem. Wogóle nie śmiał się nigdy i mówił mało. Ale na brzegu jeziora stawał się wymownym i wesołym. „Tomie — mówił do mnie, zacierając olbrzymie ręce—czy widzisz tam wśród krzaków tego dżentelmena o tak wspaniałej paszczy? Czy nie znajdujesz w nim podobieństwa do wielebnego Booby z Kentucky, który wczoraj śpiewał psalmy u mojej matki? Podobna paszcza i taka sama białą komizelka. Dalej, prosto w kamizelkę zacnego pastora, pif, paf! i trafiony. Wielebny ojciec niema powagi, czy widzi pan jakie koziołki wywraca? Ach, ot i leży do góry brzuchem. A teraz kolej na innego"! W takich chwilach złe miał oczy, rozdęte nozdrza i twarz czerwoną. Był Yankesem z pochodzenia, a Anglikiem z temperamentu i tem różnił się od młodych ludzi z Nowego Orleanu, którzy mając przeważnie francuską krew w żyłach, są bladzi, nerwowi, jak zwykle Kreolczycy. Wzrost jego dosięgał sześciu stóp i waga była odpowiednia, mimo, że liczył zaledwie lat dwadzieścia ośm. Szeroki w barach, miał ociężałą postawę byka. Zazwyczaj był cichy i milczący, ale gdy wypił, lub gdy się rozgniewał, wargi mu drżały i wszyscy milkli, czując, że gdy wybuchnie, wściekłość jego nie będzie miała granic. Widziałem go, jak w noc burzliwą, kiedy z nieba spływały potoki deszczu, wypadł z klubu,

wołając, że nie jest psem, aby wrócić do domu i wysypiać się na posłaniu. W pięć minut dotarł do portu, odczepił łódź i wypłynął na rzekę, po której toczyły się pnie drzew, wyrwanych przez falę. Mętną wodą miotała wichura; maszt trzeszczał. Przywoływaliśmy go ze wszystkich sił, nie zważał na to i dłońmi Herkulesa wiosłował z pochyloną głową. Sądziliśmy, że zginie; nazajutrz powrócił przemoknięty, jak gdyby noc spędził pod wodą, ale w doskonałym humorze. W rok potem wybuchnęły rozruchy w Meksyku. Nagle opuszcza swój dom, z kreolskim zbytkiem urządzony i rusza konno sam jeden, ze sforą psów, dwiema strzelbami, busolą, kołdrą, przez lasy, żywiąc się tylko tem, co upolował, przywiązując hamak do drzewa i śpiąc pod strażą swoich psów. Powrócił po upływie trzech miesięcy, przejechawszy siedmset lub ośmset mil i zabiwszy znaczną liczbę Indyan i Meksykańczyków.

Miewał się doskonale, ale otrzymał pchnięcie nożem w policzek. Psy, karmione mięsem, tak zdziczały, że musiał je wydalić z miasta.

Podobne wyprawy uczyniły go wielce popularnym wśród zamożnych młodych ludzi, tembardziej, że był bardzo uczynny. Nie miał zwłaszcza sztywności i pruderyi purytańskiej. Pod wpływem pojęć kreolskich zaginęły w nim cechy Anglika. Matka, Francuzka z dobrej rodziny, wychowała go w staroszlacheckich zasadach i w nienawiści. Trzeba dodać, że w tym arystokratycznym świecie Yankesi uchodzą za czerwonych kupców. Istotnie, naprzykład w Cincinnati prawo zabrania gry w bilard, za sprzedanie talii kart płaci się pięćdziesiąt dolarów kary;

odbywają się tam w lesie tak zwane *revivats*, trwające trzy dni. Kaznodzieje mówią po kolei, opisując agonię grzesznika, jego śmierć, stopniowy rozkład ciała, ogień piekielny, z wyszczególnieniem drobiazgowem wszystkieh mąk, z krzykami i jękami, aż dopóki sami nie padną wyczerpani. Tymczasem dookoła nich słuchacze wołają hosanna! na całe gardło, co trwa czasami cztery godziny, a młode kobiety szlochają i padają na ziemię w konwulsyach. Z drugiej strony dżentelmeni z Cincinatti chodzą sami na targ, jedzą nożami i plują nieustannie przy stole, a nawet na suknie pań. Piękne te obyczaje opisane są w jednym z romansów Coopera. Panna nie chce wyjść za swego narzeczonego, ponieważ jest niedowiarkiem. Po wielu dysputach młodzieniec jedzie polować na foki na morzu polarnem, odmraża nos, co wpływa na jego nawrócenie. Ona tymczasem nie przestaje zajmować się kuchnią i wychodzi na spotkanie statku z rondlem w ręku. Ujrzawszy narzeczonego, krzyczy zdaleka: „Czy wierzy pan teraz w bezpośredni wpływ, czy w symboliczny“? W bezpośredni! Z nadmiaru szczęścia wypuszcza z rąk rondel i rękę swą oddaje nawróconemu młodzieńcowi. Naturalnie, że ci szewcy, przeobrażeni w kaznodziejów, nie mogą podobać się ludziom z wyższej sfery. Z tego przeto powodu przyjaciel mój, Jonatan Bufler, nie usiłował wcale drugich nawracać, ani nawet świecić przykładem.

Wedle ówczesnej mody miał kochankę, kwarteronkę, której nie był bynajmniej wierny.

Jeździł nowym powozem i przepysznemi końmi. Murzyni, trochę za często bici, spełniali w mgnieniu oka jego rozkazy. Co prawda, chłopi byli zdania, że jest dumny, ponieważ nigdy z nimi nie rozmawiał, a gdy przechodził, pobożne kupcowe przezywały go pocichu Molochem i szatanem. Ale zbliżano się do niego z odkrytą głową i nie potrzebował pukać do dwudziestu jeden drzwi, jeżeli chciał zgromadzić strzelb dwadzieścia. Było to w czerwcu i panował upał tak straszny, że tego dnia dwóch ludzi i sześć koni padło rażonych apopleksyą. Moskity unosiły się nad rzeką, jak chmura. Pod wieczór, duszący, niezdrowy wiatr, zaczął miotać kurzawę. Butler i ja weszliśmy do jednej z tych kawiarni amerykańskich, gdzie stojąc, połyka się różne przekąski i wódkę.

Towarzysz mój był odrana w posępnym humorze i ukąszony został przez kilka moskitów; próbowałem żartować, nie odpowiadał; kazał sobie podać duży kieliszek rumu i wypił go, nic nie mówiąc. Wołałem na niego wychodząc z kawiarni, ale zdawał się mnie nie słyszeć. Kilku dżentelmenów z Kentucky, dłubiąc w zębach nożami, przyglądało mu się zuchwale, gorsząc się jego eleganckiemi spodniami. Butler patrzył również na nich złem okiem. W owej chwili zażądał od kelnera zapałki, „Zaraz, proszę pana.“ Po upływie minuty, drugi raz żąda zapałki ochrypłym głosem. Kelner obsługiwał dżentelmenów z Kentucky. Domaga się zapałek po raz trzeci, twarz zaś jego staje się szkarłatną; zdawało mu się, że kradną mu jego kelnera. Za czwartym razem biedny ten chłopiec, sądząc, że zdąży podać dżentelmenom ostatnią przekąskę, przebiegł pędem. Wtedy Butler wbił mu swój *bowie-knofe* w ple-

cy. Kelner padł na ziemię, usiłował powstać i unieść głowę, by zaczerpnąć powietrza, lecz spłynął mu z ust potok krwi i skonał natychmisst bez jednego jęku. W ranie tkwił nóż, Buttler zaś, który stał jak lunatyk ned trupem, pozwolił się ująć i odprowadzić do więzienia.

Nazajutrz wszyscy, nie wyłączając murzynów, rozprawiali o tym wypadku. Murzyni byli zdania, że jednakże młody ich pan był za gwałtowny i zastanawiali się nad tem, czy zostanie powieszony w białych spodniach i różowym krawacie; kiwali przytem głowami tajemniczo, wyszczerzając białe zęby.

Młodzi dżentelmeni żałowali, że Buttler nie użył laski, zamiast noża. „Laską byłby mógł uderzyć nie raz, ale dwanaście razy.“ Ale kupcy i rzemieślnicy byli wściekli i urządzali mityngi, na których całemi godzinami miotali obelgi na arystokratów, wypasionych pracą ludu. Sprawa przybrała zły obrót, zwłaszcza gdy zauważono, jak ją sędzia prowadził. Był to Francuz nieposzlakowanej uczciwości, człowiek, nie sympatyzujący z ludem, ale wychowany w niewzruszonych zasadach i ścisłej logice filozofów zeszłego wieku. Głośno mówił, że niema względów dla nikogo i że szubienica jest słuszną karą za zabójstwo.

Przebieg procesu był taki, jak zwykle; wezwano dwudziestu świadków, oskarżony zaś przyznawał się do winy. Usiłowano wykazać, że był pijany; ale wypił wtedy tylko kieliszek rumu. On sam pogarszał sprawę milczeniem i wyniosłemi odpowiedziami, tak, że został skazany na śmierć przez powieszenie.

Oburzyło to niesłychanie wszystkich dobrze wychowanych młodych ludzi, zwłaszcza szubienica wydawała im się karą strasznie hańbiącą, dobrą dla Yankesa i murzyna. Starali się przeto nie dopuścić do wykonania wyroku. Po naradzie z panią Buttler próbowano przekupić stróża więziennego i ofiarowano mu dwakroć sto tysięcy dolarów, czyli cały majątek skazanego. Zamknął oczy i zbladł, olśniony wysokością sumy, potem poszedł po Biblię i wskazał ustęp podkreślony, który odczytywał codziennie zrana od miesiąca: „Nie będziesz przeniewiercą.“ Po upływie dwóch dni przyjaciele Buttlera dowiedzieli się, że kopią już dół pod szubienicę. Nazajutrz o czwartej zrana, dobrze uzbrojeni, w liczbie mniej więcej stu pięćdziesięciu, napadli na więzienie. Było tam zaledwie ze dwudziestu żołnierzy, którzy nie stawiali wielkiego oporu i bardzo chętnie zgodzili się powrócić do domu. Przyjaciele skazanego, zaopatrzeni w piły i drągi, zaczęli wyważać drzwi więzienia, lecz daremnie, wówczas nanieśli drew i podpalili; odniosło to skutek; drzwi okute żelazem zaczęły się rozpadać. Ale zajęło to pół godziny czasu, uderzenia zaś młotem, blask ognia i dym zwróciły uwagę. Jednakże kupcy nie śmieli się ruszyć i stali we drzwiach sklepów z bronią w ręku. Wtem ulicą, prowadzącą do portu, nadpłynęła fala ludzi w łachmanach, wyjących dziko, uzbrojonych w drągi żelazne, motyki i noże: byli to brukarze, Irlandczycy, zajęci przy porcie, którzy pragnęli widzieć, jak wieszać będą bogatego Anglika. Młodzi ludzie dali ognia i sporo brudnych bluz padło na ziemię. Ale Irlandczyk jest niedościgniony, kiedy chodzi o to, żeby się samemu narazić i drugim pogrucho-

tac kości. Tak dobrze pracowali drągami i nożami, że w kwadrans sprawa była skończona.

Przyjaciele Buttlera zmuszeni zostali do odwrotu; brukarze, przejęci zapałem, rozproszyli się po knajpach, pozostawiając setkę ludzi na straży i od tej chwili w dzień i w nocy więzienie było strzeżone. Należało pogodzić się z losem; skazany znalazł się w położeniu bez wyjścia i musiał umierać. Widziano go tego wieczoru, jak spoglądał na zachodzące słońce z otwartemi ustami, sztywny i nieruchomy, jak gdyby przed jakiem przerażającem widowiskiem, następnie padł na kolana, ściskając dłońmi głowę.

W nocy nie spał, tylko chodził w kółko po pokoju, w nocy zaś dozorca dosłyszał łkanie gwałtowne. Zdrów był, silny, a nigdy nie płakał, tak, że to łkanie przypominało konanie byka. Nad ranem zostali go śpiącym, bardzo bladym, jakby wyczerpanym nadmiarem wzruszenia. Po pokoju rozrzucone były zgniecione i zapisane skrawki papieru. Jeden z nich zwrócił uwagę dozorcy. Zawierał zaś słowa następujące: „Zachodzące słońce było Chrystusem, a jego promienie przenikały me źrenice. Rzuciłem się ku niemu, objąłem rękoma jego nogi, potem podniosłem się i chciałem ucałować go, jak to czyniłem z matką moją. Wówczas spojrzałem na jego oblicze, było tak blade, jak szare, spłókane deszczem liście jesienne, zamierające na gałęziach drzew. Omdlałem, a otworzywszy oczy, zobaczyłem znowu słońce nieśmiertelne ponad mnóstwem głów litościwych, radosnych i w chwale promiennej. Zdaje mi się, że mi wbito nóż we wnętrzności.“ Po przeczytaniu tych słów dozorca nabrał otuchy, że więzień skończy przykładnie.

W wigilię wykonania wyroku pani Buttler uzyskała pozwolenie zobaczenia się z synem. Kiedy ujrzano ją wysiadającą z powozu, w czarnej sukni, z twarzą spokojną i pałającemi, suchemi oczyma, wszyscy obecni, nie wyłączając Irlandczyków, skłonili głowy. Nie poddano jej rewizyi, gdyż w Ameryce mają więcej poszanowania dla kobiet, aniżeli we Francyi. Spędziła z synem godzinę i nie dosłyszano ani łkań, ani krzyków. Następnie wyszła równie spokojna, jak przedtem, zemdlała dopiero w powozie.

W nocy dozorca usłyszał krzyk stłumiony; po upływie kwadransa znowu urywane dwa jęki; sądził, że to są objawy skruchy i przygotowywał się nieść więźniowi nazajutrz duchowną pociechę. Zrana, wchodząc do celi, znalazł Buttlera leżącego na ziemi martwego, z trzema ranami, zadanemi nożem w piersi. Ranił się trzy razy, a w przerwach przyszło mu na myśl pisać. Pierwszy raz rozpiął tylko ubranie, nóż ześlizgnął się i przeciął zaledwie skórę. Wówczas zdjął koszulę i domacawszy się palcami właściwego miejsca, czekał przez kwadrans. Za drugim razem nóż wszedł głębiej, ale mimo to nizko: krew płynąć zaczęła obficie; usiadł i otworzywszy ranę, oczekiwał końca. Po kwadransie oczekiwania poczuł się bardzo osłabionym i rozgorączkowanym, był jednak na tyle przytomnym, żeby zrozumieć, że chybił. Wtedy przez przeciąg pięciu minut słabnąć zaczęła jego odwaga. Rany go paliły. Wypił pół karafki wody, obmył ręce i głowę, poczem odzyskał

panowanie nad sobą i postanowił nie umrzeć na szubienicy, jak murzyn. Przeczekał pół godziny, unikając wszelkiego ruchu, tamując krew chustką: „jeżeli bowiem krew płynąć zacznie, stracę przytomność, nie będę mógł się zabić i jutro zostanę powieszony.“ Zapowiadał, że tym razem przyłoży ostrze noża w to miejsce, gdzie serce bije, zagłębiać go będzie powoli i stopniowo, klęcząc przed łóżkiem, żeby nikogo, padając, nie obudzić. Ostatnie wyrazy oznaczały godzinę jedenastą, dwadzieścia cztery minuty; nie zapomniał nakręcić zegarka. Młodzieniec ten nie miał doświadczenia, bardzo jest trudno trafić w serce, daleko łatwiej w gardło. Na dwa cale pod brodą znajduje się arterya, pokryta w tem miejscu tylko skórą i cienkim muskułem. Bardzo jest łatwo przeciąć ją odrazu; mózg zostaje natychmiast sparaliżowany i umiera się, nie czując bólu. Cała trudność polega na kolejnem wykonaniu dwóch ruchów: naprzód wbić nóż, potem przekręcić go tak, jak gdyby się krajało kromkę chleba.

ROZDZIAŁ X.

MŁODZI LUDZIE.

Zeszłej soboty odwiedziłem mego siostrzeńca, p. Anatola Durand, lub też du Rand. Młody ten nicpoń nadużywa trochę pensyi, jaką mu przeznaczam. Otworzył mi drzwi służący, mający wygląd marszałka dworu. Pana siostrzeńca zastałem zagłębionego w fotelu, z nogami wysoko założonemi, palącego równie dobre cygara jak moje. Robił wrażenie indyczki nadzianej truflami, pięknie ułożonej na półmisku. Poważnie mu się skłoniłem, drgnął, ale się nie zdobył na słowo powitania. Wyraziłem mu swój zachwyt nad miękko wyścielanemi fotelami, nad pięknie brązową skórą obitemi kanapkami, poczem, czując pewien niepokój w nogach, obejrzałem resztę mieszkania.

W jadalnym pokoju są bardzo piękne półki; mój siostrzeniec lubuje się w starej sewrskiej porce-

lanie: w pokoju sypialnym wiszą dwa obrazy Baudouina i stoi kilka obnażonych figurek, jest to dowodem dobrego smaku. Skończywszy przegląd, zapaliłem cygaro i rzekłem:

— Anatolu, czy jest co piękniejszego na świecie od cnoty?

— Słucham wuja?

— Mówię, że najpiękniejszą rzeczą na świecie jest cnota. Na przykład, oto p. de Montyon, lub też p. Bordier, były notaryusz; przeczytaj gazetę i zobaczysz, ile te osobistości narobiły hałasu. Ofiarowali ogromne sumy, jako zachętę do pięknych czynów i w nagrodę za dobre książki, w skutek czego nazwiska ich stały się głośne, wszyscy je znają. Jest to silny, jak widzisz, bodziec; miło jest bowiem dojść do sławy. Pewien baron, w tej chwili nie pamiętam jego nazwiska, zapisami swemi w testamencie pobudza chirurgów do udoskonalenia sposobu operowania kamieni. Otóż od tego czasu wynaleziono wiele pysznych przyrządów, któremi możnaby cały skład zapełnić; operują ludzi bez bólu i tak szybko, że to prawdziwa przyjemność. Czyż dusza szlachetna nie pragnęłaby pójść w ich ślady? Widzisz, mój drogi, jesteś młody, w tym wieku zaś rodzą się najszlachetniejsze uczucia, wyznaj mi szczerze swe zapatrywania. Chciałbym rodzaj ludzki wybawić z ciężkiej choroby — z reumatyzmu, wiem coś o tem, bo mnie aż dwa trapią. Czy może być szlachetniejsze zużytkowanie swego majątku, jak zapis pośmiertny kilkuset tysięcy franków uczonemu, któryby wynalazł lekarstwo na tę chorobę? Ach, młodzieńcze, młodzieńcze! wzrok twój pała! Jak to dobrze i pięknie przejmować się sprawami ludzkości!

Siostrzeniec mój wcale nie wyglądał na przejętego temi sprawami; prędzej wydawał się być zgnębionym, zapomniał nawet o rozkoszowaniu się cygarem. To też dodałem, żeby go pocieszyć:

— Biedny mój Antolu, mam kłopoty. Manufaktura nasza solonej wieprzowiny w Cincinnati jest zachwiana. Korespondent mój donosi mi, że profesor Thiekseult z akademii Hog-aud-zwine for-the-wordl, wynalazł maszynę, która nie wytrzymuje konkurencyi. Wszystko się w niej odbywa za pomocą pary; jest to małe arcydzieło wykwintu i dokładności. Wieprze wprowadzają rzędem w ciemne przejście, w którem wielkie ruchome noże zarzynają je kolejno; trwa to dwie minuty. Małe saneczki przewożą zwierzęta do pokoju, gdzie je myją—minuta. Tam automatyczne szczotki oczyszczają je starannie z sierści—siedem minut. Inne saneczki przesuwają zwierzęta dalej, gdzie mechanicznie są wypaproszone, rozpłatane i na części podzielone—sześć minut. Następnie wszystkie kawałki i części maszyna zabiera i układa w beczkę na warstwę soli—trzy minuty. I w dwadzieścia jeden minut cały wieprz jest zupełnie we wszystkich szczegółach przyrządzony i gotów do odstawy dla wojska. To jest cudowne i nadzwyczajne; pokażę ci rysunki u siebie w gabinecie. Thiekseult zarobi na tem trzy miliony dolarów, zostanie dostawcą wojsk federacyjnych. Drażni to przedewszystkiem moją miłość własną; wszak byłem dotąd pierwszym fabrykantem solonej wieprzowiny na Stany Zjednoczone; powtóre, szynki przynosiły mi trzydzieści tysięcy franków rocznie.

Mógłbym wydać stosowne rozporządzenie memu agentowi, to człowiek uczciwy, chociaż siedem razy zbankrutował. Ale Thiekseult mógłby go przekupić, potrzebowałbym mieć tam swego człowieka, zupełnie mi oddanego. Dwadzieścia pięć godzin podróży ztąd do Liverpoolu, dwanaście z Liverpoolu do New-Yorku. Anatolu, jak sądzisz? Mam ciebie na myśli.

Twarz mego siostrzeńca przeciągnęła się widocznie, kąty ust opuściły się ku dołowi, oczy wyszły na wierzch, a z pod wymuskanych i utrefionych włosów ukazywały się perliste krople potu.

— Uspokój się mój przyjacielu, podziwiam twój zapał szlachetny, ale jesteś za gwałtowny, a w interesach potrzebny jest spokój. Pomówimy jeszcze o tem. Tymczasem powiedz mi, kogo dziś oczekujesz? Widzę salon prsystrojony, w jadalnym pokoju przygotowana waza do ponczu, a służący przed chwilą uwijał się z tacami i różnemi smakołykami. Bądź szczery, może ci zawadzam?

— Ależ nie, mój wuju, przysięgam ci, że jestem poważnym młodzieńcem, oczekuję tylko kilku przyjaciół, przyzwoitych bardzo ludzi, jest to mój dzień przyjęć.

W istocie mój siostrzeniec ma swój dzień przyjęć, jak każda piękna kobieta. I czemże się od niej różni? Śledziłem go, gdy się kręcił wydając różne rozkazy. Mniej pięknym może jest od niej, po za tem stoi na jednym z nią poziomie. Zajęcia jego są mniej więcej te same; kiedy załatwił się z ubraniem, z zewnętrznym swym wyglądem, skończył wszystko. Ma szafę pełną butów i kamaszy, przez

dwa lata wahał się pomiędzy Renardem a Dusantoy, zanim wybrał Renarda, by znowu wrócić do Dusantoy; jest prawdziwym geniuszem co do kamizelek; szanuje go nawet pierwszy krojczy Renarda. Badałem jego ubiór: spodnie obcisłe, śliczna letnia marynarka z dobraną kamizelką, wysoki, stojąco wykładany kołnierzyk z ładnie zawiązanym jasnolila krawatem. Broda wygolona, ale obfite bokobrody łączą się i tworzą całość z wąsami. Znudzenie i zadowolenie ze swej osoby, oto wyraz, ukazujący się kolejno na jego twarzy. Ręce są wypieszczone; na różowych palcach błyszczy pierścień; podnosi je od czasu do czasu w górę, by krew z nich zbiegła. Bezwiednym ruchem dotyka się niekiedy ucha, które jest kształtne i małe, lub poprawia kołnierzyk, prawdziwe arcydzieło smaku, lub pieszczotliwie głaszcze włosy sztucznie ułożone w karby nad skronią. Jest panem swego uśmiechu, powściąga go, lub nadaje mu wyraz pośredni pomiędzy znudzeniem a wesołością. Umie przegiąć szyję, założyć nogę na nogę, wesprzeć brodę na ręku, zagłębić się niedbale w fotelu i słuchać lub mówić o niczem bez ziewnięcia.

— Siostrzeńcze mój! jesteś arcymiły i nie potrzebowałbyś niczego więcej się uczyć, gdybyś zamieniony został nagle na damę światową, musiał nosić grzywkę i fałszywe warkocze, unosić zgrabnie suknię i zabawiać z umiarkowaną a sztuczną zalotnością gości swoich w salonie!

Jakże dnie spędza? Wstaje o dziewiątej zrana, narzuca szlafrok i oczekuje na służącego z czekoladą. Czyta dzienniki paląc papierosy, przeciąga

się i o jedenastej zaczyna się ubierać. Jest to ważne zadanie. W ubieralni kazał postawić stół długi i szeroki, na którym stoją trzy miednice, niezliczona ilość pudełek, flakonów i luster. Trzy szczotki do głowy, jedna do brody, inna do wąsów, szczypce do wyrywania włosów, plastry, maście, pomady, perfumy, mydła; rzekłbyś—cały arsenał. Po ubraniu zasiada do śniadania, paląc papierosa przerzuca jaki nowy romans, następnie oddaje wizyty. W zeszłym roku uczęszczał na prawo; zajmowało mu to dwie godziny dziennie; uważał to za szczyt poświęcenia i z wyrazem niewymownego znudzenia przeszedł ten ostatni kurs uniwersytecki. Obecnie jest wolny jak ptak, czuje się szczęśliwym, nie mając obowiązku robienia lub czytania czegokolwiekbądź. Zdaje mi się, że przerzucił *Życie Chrystusa*, by módz o tem dziele mówić i być modnym.

Tegorocznym jego pomysłem jest gałka do laski; zaniósł do p. Verdier z tuzin przeróżnych trzcin, które przysłano mi z Brazylii, a natomiast obstalował tę gałkę na rączkę do laski, której sławę w świecie zawdzięcza. Z nastaniem pierwszych pięknych dni wiosennych umówił się z kilkunastu młodymi ludźmi z towarzystwa, że wszyscy razem wyjdą biało ubrani i w białych wysokich kapeluszach; stworzyło to nową modę i mocno jest dumny ze swego śmiałego pomysłu i wielkiego powodzenia.

Około czwartej objeżdża lasek Buloński; konia ma wcale dobrego, jest niezłym jeźdzcem i dobrze na koniu wygląda. Zwykle jada obiad w klubie, a o północy powraca zwykle do domu. Dwa razy tygodniowo uczęszcza do teatru Palais-Royal, który

przekłada nad inne; mniej więcej ze dwa wieczory w tygodniu spędza z figurantką teatru lirycznego. Mówiono mi, że przez sześć miesięcy kochał się w modystce. Oto wszystko; jest porządnym młodzieńcem, jak się sam o sobie wyraził; gwałtownych namiętności nie zna, nawet żadnych wybryków nie czyni i nie zdolny jest do porywów. Wszyscy dzisiejsi młodzi są mniej więcej do niego podobni: umiarkowani we wszystkiem, nawet w wybrykach. Są to mieszczanie, którzy pragnęliby uniknąć nudy, ale lękają się o własną skórę. Próżność jeszcze czasami unosi ich nieco dalej, ale na krótko. Mój siostrzeniec posyła kwiaty pannie X..., ale nie pojedzie za nią do Clichy. W jego oczach wszystkie kobiety są jednakowe; miłość jest równie przyjemną, jak dobra kuchnia, a obok jednej restauracyi znajdują się przecież i inne.

Gdy znudzą go kolacye, pomyśli o sztuce mięsie, czyli o małżeństwie. Ożeniwszy się w trzydziestym roku życia, utyje wśród wielkiej ciszy. Można było go ożenić zaraz po ukończeniu szkół, urodził się już bowiem dojrzałym człowiekiem. Do czegoż jest zdolnym? Nie starał się nigdy niczego nauczyć, ani samodzielnie żyć, według własnego planu. Wspomnieć mu o podróży, choćby tylko dla przyjemności, na przykład o wycieczce do Jerozolimy lub Kairu, skrzywi się z niesmakiem. Posłałem go do Londynu, zmęczyły go wizyty i mglisty klimat; zadecydował, że teatry i kasyna tamtejsze są dobre dla kupców i wrócił czemprędzej do Paryża. Lubi jeszcze wycieczki na wieś i pobyt w wykwintnych rezydencyach wiejskich; ma tam powodzenie, bo tańczy dobrze,

nosi świeże rękawiczki; pociągają go zaś tam najbardziej smaczne obiady i te wielkie, głębokie fotele, w których tak miło i spokojnie trawić można, używając świeżego powietrza i rozkoszując się wonnem cygarem. W jego wieku roznamiętniała mnie polityka i literatura; byłem członkiem towarzystwa, mającego na celu odrodzenie ludzkości, a w szkołach dysputy o utworach Wiktora Hugo kończyły się nieraz bijatyką.

On ma te same poglądy na literaturę, co na miłość—zapełnia to wieczór, o ile nie jest czem innem zajęty – książki powinny być przedewszystkiem zabawne, ani smutne, ani poważne. Przeczytał „Madame Bovary“ raz jeden i to mu wystarcza; gdyby się pojawił nowoczesny Paul de Kock, tylko mniej trywialny, lubowałby się w jego utworach. Co zaś do poglądów politycznych, rozstał się z niemi wraz z rokiem 1848. Jest zresztą tego zdania, że wszelkie tego rodzaju ideały mają na celu przyszłą karyerę. Rozmawiałem z nim o wyborze jakiego zawodu, pogodziłby się z tem, jako ze smutną koniecznością, pragnąłby jednakże nie opuszczać Paryża, nie być nadto obciążonym. Chce mieć wolne wieczory, ranki, niedziele, jeden dzień swobodny w tygodniu i dwa miesiące wakacyi. Zaznaczył przytem, że źle trawi, jeżeli pracuje pomiędzy jednem a drugiem jedzeniem, to jest od godziny jedenastej do piątej.

Czy to może kogo dziwić? Celem jego wychowawców było skrępować go i ujarzmić. Do lat dwudziestu pisał ćwiczenia i wiersze łacińskie w szkołach, gdzie żył jak w klatce, z po za której na świat

wyglądał. Z takiego miejsca świat wydaje się nieustanną zabawą, spacerem po bulwarach w nowych lakierkach, pośród wielu ładnych kobiet, którym można zaglądać w oczy bez nagany nauczyciela. W jego naukach niema nic, coby się dało praktycznie zastosować. Żeby dostać się na swobodę, trzeba było ślęczeć nad książkami; raz wrota otwarte, odrzucił grekę i łacinę, niby starą, zużytą szatę. Gdy wrócił do domu, matka otoczyła go troskliwością i pieczołowitością, do której przywykł. I żądano od niego żadnej inicyatywy, ani najmniejszego wysiłku; wystarczało, by się przyzwoicie zachował i nie miał zbyt kosztownych zachcianek. „Nie wracaj późno, zawiąż zgrabnie krawat“, oto mniej więcej zasady, jakie w niego wpajano. Widział zresztą, jak jego ojciec i znajomi ochraniali swe osoby, jak starali się o powiększenie swych dochodów, jak umieli ocenić wartość posiadłości ziemskiej, ładnego umeblowania, smacznego obiadu, naśladuje ich przeto we wszystkiem. Wszak jedynem zadaniem indora jest nadymać się i puszyć Czy można być innym, gdy się ktoś urodzi w kurniku?

Porównywałem w tej chwili jego zajęcia, myśli, gusta do gustów, myśli i zajęć ładnej mieszczki. Uczył się łaciny, jak ona muzyki, jedno warte drugiego, gdyż jedno jak drugie jest mechaniczne. On był w szkołach, ona w klasztorze, oboje zaś wyglądali na świat przez szpary parkanu i wyobrażali sobie życie jako dzień świąteczny, wolny od nauki, w którym się kładzie nowe rękawiczki i zajada ciastka z poziomkami. Rodzice nauczyli tak

ją, jak jego zachowywać się przyzwoicie, unikać rozgłosu, omijać trudności, cenić dobre kąski, on więc marzy o dobrej posadzie, a ona o dobrej partyi. Posada i mąż, to są w ich mniemaniu środki, zapewniające niekłopotliwą i przyjemną egzystencyą. Oto są ich aspiracye, a jeśli o czemś marzą, to najwyżej o ładnym powozie, lub o wygodnym i pięknym pałacu. Oboje uważają za szczyt szczęścia przejażdżkę po lasku Bulońskim w nowym powozie. Może u kobiety na dnie duszy kryje się jeszcze jakie inne pragnienie, natura obdarzyła ją wrażliwszemi nerwami, a do chwili zamążpójścia zamkniętą była w klasztorze. Jednakże dorównywają sobie pod względem wartości—jest to typ tegoczesnej pary małżeńskiej: kogut z kurą na żerdzi.

Trzy razy zadźwięczał dzwonek w przedpokoju, przyjaciele mego siostrzeńca przybywają z klubu. Przedstawienia wzajemne. Nie mam wyglądu pedanta, więc znajomość zawiązuje się łatwo i rozmowa toczy się ochoczo przy pomocy ponczu. Pierwszy z gości jest to dwudziestoośmioletni wicehrabia, potomek arystokratycznej rodziny z Trauchecomté, ale jakiej rodziny! Ojciec, dwie córki, ciotka i guwernantka. Nie przyjeżdżają nigdy do Paryża, nie bywają nawet w Besançon. Ojciec objeżdża swe posiadłości, zajada dobre obiady, wygrzewa się przed kominkiem. Jest umysłu tak ociężałego, że gazety nie bierze do ręki i odczytuje mu je guwernantka. Ona jest głową rodziny; nie posiada ani muzyki, ani rysunków, trochę gramatyki i arytmetyki, czyli zaledwo początki nauk elementarnych. Dla rozrywki panny wyszywają na krosnach przed oknem, podług dostarczonych przez nią wzorów. Żadnych książek. W tych warunkach panny znienawidziły wieś i pragną wyjść zamąż pod dwoma jednak warunkami: by przyszły małżonek był gorliwym katolikiem i mieszkańcem miasta. Ojciec poza tem żąda, żeby był szlachcicem i zadowolnił się siedmiu tysiącami franków rocznej renty. Dotąd nikt się nie znalazł. Dla zapełnienia życia szyją więc tymczasem wyprawki dla biednych dzieci, lub też całe tuziny czepeczków dla siebie. Powstają kwasy, nieporozumienia; guwernantka musi być pośredniczką pomiędzy ojcem a ciotką, pomiędzy ciotką a pannami i pomiędzy pannami a ojcem. W bezmyślnem życiu rodzą się skrupuły, jak osty na nieuprawnej ziemi. Znajdują, że ich proboszcz jest za pobłażliwy i listownie zwracają się do teologów w Besançon, pytając, czy wolno jest dawać dyspensę na mięso przy kolacyi w czasie postu. Odpowiedziano im, że święty Liguori pozwala jeść małe smażone rybki. Synek tymczasem bawi się za wszystkich i wraca dopiero na łono rodziny z otwarciem polowań we wrześniu.

Jako attaché ambasady robił spustoszenia na dworach pośród Kanoniczek. Objechał całą Europę i przeszedł kurs porównawczy intryg miłosnych; wreszcie znudzony zwrócił się do sfer niższych. W tym kierunku jest niezwykle wykształcony i chlubi się tem, przytaczając dokładne szczegóły, ale w formie lekkiej i wesołej. Próżność jego wolna jest od zarozumiałości, nie jak o ludzi z burżuazyi, którzy

posiadając jakikolwiekbądź talent, pozują na mistrzów. Obecnie osiadł w Paryżu, utrzymując, że nie warto szukać zadaleko, wszelkie bowiem nowalie zagraniczne dowożone są tu w najlepszym gatunku, a co do przyprawy, to niema jak paryzka.

Drugim gościem jest syn bankiera. W tym roku dywidenda wynosiła czternaście procent, oto rozmowy i nowiny, które słyszy codziennie od lat najmłodszych przy obiedzie i śniadaniu. Sześć miesięcy temu ojciec jego dowiedziawszy się, że pewien biedny wynalazca prześladowany jest przez dłużników, skupuje wszystkie weksle i będąc jedynym wierzycielem, staje się za bezcen właścicielem patentu: chodziło o sposób zapobiegania ulatnianiu się gazu. Następnie objeżdża wszystkie instytucye, wyrabia sobie poparcie w wysokich sferach, zaprasza na śniadania urzędników, uzyskuje pozwolenie na zastosowanie swego wynalazku do wszystkich biur i zarządów. Zarabia na tem sto tysięcy dukatów.

— A wynalazca?

— Zrobi nowe odkrycie; ludzie ci są jak krety, kiedy się im jamę zasypie, wykopią nową.

Z głębi duszy podziwiał spryt ojca, ale pod warunkiem, aby i on mógł ciągnąć zyski. Ojciec ma prawo zupełnego wydziedziczenia syna; wydało mu się to potwornem.

— Ależ to dzicy ludzie! Jakto, posiadam konie, noszę lakierki, a ojciec miałby prawo zrobić ze mnie gryzipiórka lub głodomora? Czyż nie lepiej odrazu wychować mnie na posłańca lub tragarza.

Rozmawialiśmy dłużej i doszedłem do przekonania, że w jego mniemaniu rodzice są własnością

dzieci, które w drodze łaski pozwalają im żyć. Młodzieniec ten nie ma znamion rasy wice - hrabiego. Z kobietami obchodzi się jak z końmi, a z końmi jak z kobietami, uważa to za rodzaj wyższości. Pospolite ręce dziadka, handlarza wołów, widoczne są mimo żółtych rękawiczek.

Trzecim gościem jest urzędnik sądowy z Bourganeuf. Posiada dwa tysiące franków dochodu i tysiąc dwieście franków pensyi rocznej. Przybył do Paryża dla rozrywki, ale nie umie bawić się z zapałem. Zasiada w sądzie cztery razy tygodniowo, resztę czasu zapełnia spacerem, czytaniem romansów i fotografowaniem. Mieszka u rodziców, dla tego też nie chodziło mu bardzo o posadę. Niema żadnych dążeń ani wygórowanej ambicyi, nie prędko też zdobędzie wyższe stanowisko. Nie dojdzie do godności sędziego przed czterdziestką, a zostanie prezesem mając lat pięćdziesiąt. Ożeni się dobrze, albowiem urząd sędziego daje mu prawo do przyzwoitej partyi. Otoczy go powszechny szacunek, spożywać będzie smaczne a wykwintne obiadki, to mu wystarczy; lubuje się w spokoju; jest to manekin wypchany słomą. Maniak czy rozpustnik, kto jest więcej wart w oczach Anatola?

Po tygodniu rozmyślań doszedłem do przekonania, że manekin: z tego nowoczesnego materyału nawet porządnego hulakę wykroić trudno. W przyszłym miesiącu siostrzeniec mój obejmie posadę w ministeryum finansów. Będzie temperował pióra przez pięć godzin dziennie, marząc o posadzie pomocnika dyrektora i o urlopie, ale tą drogą stanie na wysokości współczesnych wymagań.

ROZDZIAŁ XI.

W AMBASADZIE.

Dzisiaj dzień wielkiego przyjęcia. Ambasador, przeniósłszy się do nowego pałacu wydaje bal. Do wielkiego, żwirem wysypanego dziedzińca, prowadzą dwie ulice; jedną wjeżdżają, drugą odjeżdżają powozy; niema tłoku; porządek wzorowy. Przybrano wjazd drzewami pomarańczowemi i laurowemi. Wspaniali rycerze konno i pieszo stoją gromadami lub u wejścia i w zagłębieniach. Światło łamie się w stalowych, lśniących pancerzach, ginie wśród zieloności drzew, a ponad tem wszystkiem noc bezksiężycowa rozpostarła swój ciemny namiot zahaftowany gwiazdami. Na lewo pośród zmroku przerywanego przebłyskami światła wznoszą się wielkie schody o rzeźbionej żelaznej balustradzie, w guście wieku XII. Kwiaty cieplarniane, aruny atłasowe, purpurowe kaktusy zasiane drżącemi pręcikami, tworzą barwną ścianę, w której dziwaczne orchidee i rozłożyste rośliny wplatają swe kiście i gałązki. Kinkiety i świeczniki płoną; wygalonowana służba stoi rzędem, trzymając pochodnie. Wchodzą kobiety postrojone i widać kolejno na stopniach wspaniałą wystawę mieniącej się mory, jedwabiu, koronek, fruwających w powietrzu jak skrzydła motyle; brylantów rzucających iskry, białych ramion, które drżą życiem, karków delikatnych wynurzających się z pod bogactwa fryzowanych włosów i jaśnienia złotych grzebieni. Z ciemnych i chłodnych ulic starej dzielnicy miasta wchodzi się tu, jak do rozpalonego pieca.

Ambasador miał tyle gustu, że nic nie pozwolił zmienić nowoczesnym tapicerom w starym pałacu. Żadnych niema błyskotek w galeryi, którą się wchodzi, ani w przepysznych salonach. Ściany wybite czerwoną lub żółtą materyą zachowały swą dawną wspaniałość i nie zostały zawieszone współczesnemi obrazami, o nienaturalnej czułostkowości i treści wyszukanej. Ambasador wyłączył nawet zmanierowane malowidła z XVIII wieku. We Włoszech, we Florencyi zgromadził galeryę i przewiózł ją potem do Paryża, aby przyozdobić nią swe salony.

Odłamy nagich posągów: tu tors przegięty, tam kolano lub przepyszne ramię, majaczą wśród barw dyskretnie przyćmionych, lub nawet zupełnie ciemnych. Na prawo i na lewo czuć tu cały zastęp ludzi żyjących wiecznie tchnieniem wielkiej swej epoki. Errigona Carrache spoczywa na wozie ciągnionym przez tygrysy; linie jej ciała przegiętego rozpływają się w cieniu przejrzystym; twarz rozo-

gniona, uśmiech uroczy, jaśnieją wśród czerwoności posępnych draperyi, pod nagiemi ramionami i drobnemi ciałkami figlarnych amorków, które unoszą się w powietrzu w złotych na główkach koronach.

Szerokie, białe, marmurowe kominki ukazują się z pomiędzy szeregów lokajów, szwajcarów w czerwonej liberyi, zielonych i wygalonowanych strzelców, ub poważnych woźnych ze srebrnym łańcuchem, przecinającym czarność jednostajną fraka. Goście wchodzą do galeryi, generałowie w strojach dworskich, oficerowie węgierscy, dyplomaci w haftowanych frakach, marynarze ze złotemi galonami, mundury wszystkich narodów, pokryte orderami. Suknie wloką się i szeleszczą po dywanach; galerya jest tak obszerna, że roztaczają się po niej swobodnie, bez obawy zgniecenia. Na wszystkich twarzach widać uśmiech; można podziwiać przegięcie zgrabnej figury lub zarys ramienia, opartego o ciemną draperyę. Zazdroszczę lokajom, że stoją w przedpokoju, niestety, ja muszę tam wejść. Upał jak w łaźni; nagromadzenie głów ściśniętych, które poruszają się z wiecznie tym samym wymuszonym uśmiechem. A gdzież reszta ciała? a zwłaszcza, o mój Boże, cóż dzieje się z pięknie haftowanemi trenami sukien? Ale tu ledwo mogę myśleć o głowach; skoro ona przejdzie, przesunąć się daje najprzód jedno ramię, potem drugie, w końcu reszta ciała, która jest bardziej ściśliwa. Czy widzieliście kiedy składzik ogrodnika? Cebula, marchew, pietruszka umieszczone na deskach podziurawionych; przez otwory widać łodygi; pod deską zaś tworzy się śmieszna gmatwanina; najważniejszem to, że na powierzchni głowy

się nie stykają. Oto wierny obraz wielkiego przyjęcia w ambasadzie.

Laźnia i tłok, z każdą zaś minutą tłok ten się jeszcze powiększa; przez podwójne drzwi otwarte wlewa się nowa fala ludzka, łącząca się z innemi. Posuwa się zwolna, a każda następna fala idzie jeszcze wolniej od poprzedniej.

Jedenasta. Nikt już nie przybywa; dwa pierwsze salony można porównać do gęstego płynu, w którym zanurzona łyżka utrzymuje się w postawie pionowej. Niepodobieństwo ani iść naprzód, ani się cofnąć. Dyskretnie, uprzejmie zaczynają sobie pomagać łokciami. Twarze malowane topnieją!

Boże wszechmogący, Ty, co trzech młodzieńców wybawiłeś z pieca ognistego, a wybranych swoich bronisz od ukąszeń jadowitych wężów, składam Ci dzięki! Nie uczyniłeś mnie kobietą, więc myśleć nie potrzebuję o trenie, a poły mego fraka są krótkie. Dzięki Twemu miłosierdziu jestem chudy i żaden łokieć nie może wejść w moje ciało, jak w poduszkę. Wysłałeś mnie do Ameryki, gdzie hodowałem wieprze, muskuły więc moje zahartowały się, a ramiona mogą unieść ciężar moich sąsiadów. Opatrzność Twoja uwolniła mnie od odcisków: dotąd trzy razy tylko nadeptali mi na nogę, a i to jeszcze na wielki palec, wytrzymalszy od innych. Nie jadłem dziś zbyt obfitego obiadu, więc nie lękam się apopleksyi. Dzięki Ci Boże za tyle łask! Będę zmęczony, ale uniknę losu tego generała, którego twarz fioletowa zwiastuje rychły zgon. Jakie zajęcie mógłbym sobie obmyśleć, zanim ten tłok trochę się zmniejszy? Mam dosyć przestrzeni,

by módz wyjąć zegarek: liczmy ukłony ambasadora. Jeden na sekundę, czyli 60 na minutę, 3,600 na godzinę, 14,000 przez cały wieczór czterogodzinny. Pobiera rocznie dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków, które podług mnie, słusznie mu się należą. Przed chwilą docisnąłem się do niego i powiedziałem:

„Panie ambasadorze, racz przyjąć moją czołobitność". „Przyjmuję co pan zechcesz, ale z rozkoszą przyjąłbym krzesło". Położyłem rękę na sercu i z politowaniem spojrzałem na niego, potem na jego nogi w nowych lakierach. Gdyby przynajmniej szewc miał zwyczaj robić mu obszerne obuwie.

Ukłon na prawo, ukłon na lewo; we drzwiach drugiego salonu ambasadorowa z córką czynią to samo. Gdybym kiedykolwiek został ambasadorem, to mój sekretarz i moi attachés będą musieli mieć pięć stóp i sześć cali szerokie ramiona, ożenić się z tęgiemi kobietami, dobrze odżywiać żony i kazać im nosić szerokie, sztywne spódnice. Będą musieli zawsze stać przy mnie w czasie przyjęć, a ich żony przy mojej żonie, co będzie stanowiło szaniec obronny. Rano wezmę zimną kąpiel, po niej masaż, na obiad zjem tylko kotlety, a po skończonem przyjęciu będę miał łóżko gotowe, butelkę Bordeaux i kilka miękkich befsztyków.

Tłum płynie zwolna ku trzeciemu salonowi, każdy posuwa się, licząc swoje członki; ja, Bogu dzięki, mam wszystkie w całości. Widzę wreszcie miejsce bezpieczne, wyjście prowadzące do galeryi wchodowej, a w niem fotel we framudze okna. Cała

procesya musi tędy przechodzic, znam ten wyborny fotel, który cudem jest niezajęty. Ten, co wymyślił fotele, wart jest pomnika, ta myśl jedyna przychodzi mi do głowy w przeciągu kwadransa. Drugą jest to, że jestem najszczęśliwszym w tej chwili ze wszystkich gości przebywających w pięciu salonach.

Książęta, marszałkowie, piękne panie, wszyscy mogliby mi zazdrościć. Cieszę się również, iż nie straciłem lornetki i że przypatrzę się tym nieszczęśliwym.

Trzech młodych oficerów angielskich w białych spodniach i czerwonych mundurach. Dwóch ma rysy arystokratyczne i zachowanie pełne godności i spokoju. Trzeci, to pajac o ruchomych członkach, pociągnięty pokostem salonowym. Lady Brandbridge (zmieniam umyślnie nazwisko), otyła i w przerażający sposób wydekoltowana; suknia pąsowa, twarz koloru sukni, czterdzieści pięć lat, majestatyczna, jak nagrobek. Córka jej źle ubrana, niezgrabna, wydaje się być w odmiennym stanie z przodu i z tyłu.

Generał pruski, obwieszony krzyżami, gruby i krępy, tak czerwony, że oczy tylko wyróżniają się wśród tej apoplektycznej twarzy, ciągnie za sobą żonę, z którą rozmawia tak głośno, jakby przebywał w zajeździe. Margrabia Riccardi, znany skąpiec, mający milion rocznego dochodu, a trudniący się lichwą, chudy, żółty, z zaciśniętemi wargami, jak gdyby był nieustannie trawiony kurczami żołądka.

Pan Harris Braggs, obywatel Stanów Zjednoczonych, mówiący co chwila: „Pan mieszkał w Sta-

nach Zjednoczonych; więc musi pan przyznać, że jesteśmy jedynym narodem młodym, mającym przyszłość przed sobą; w przeciągu trzech lat uśmierciliśmy pięć kroć sto tysięcy naszych ludzi".

Hrabia Borodunoff, tęgi, kwadratowy, brodaty, zahartowany, który jadał jagnięta pieczone we własnej ich wełnie, sypiał pod płaszczem w szronem pokrytych górach Persyi; jest w nim coś z niedźwiedzia. Całą jego rozmowę stanowią dowcipy pieprzne z XVIII wieku i banalne komplementy. Córka jego, blada, chłodna, podobna do śnieżnego posągu, zaprzątnięta jest jeno galgankami. Dziwny to kontrast; ale pierwotne natury przejmują się przedewszystkiem paryzką lekkomyślnością.

B. członek akademii, zrobił karyerę dzięki dobrym obiadom. Zwinne nogi jelenia, oko i czaszka jastrzębie; nikt nie chodzi po piętrach z większą wytrzymałością, ani lepiej nie odgaduje z miny lokaja, czy państwo są w domu, lub czy naprawdę wyszli. Posiada mundur akademicki i może miewać prelekcye o cnocie. Jedynym cierniem w jego życiu jest żona, podobna do opierzonej sowy, a krocząca przy nim z podniesioną głową, wydekoltowana, wystawiająca na pokaz swe chude ramiona.

Pani d'Arbis. Rozmawiałem z nią kilka razy i widok jej sprawia mi zawsze wielką przyjemność. To typ prawdziwej Francuzki i wielkiej damy. Nie ma czasu na miłość, wszystkie jej siły wyczerpuje żywa praca mózgu. Czy obserwowaliście kiedykolwiek szczygła w klatce? skacze, śpiewa, je, nigdy nie jest zmęczony i spełnia sześćdziesiąt czynności na minutę.

„Ach, jakby było dobrze siedzieć na górnym pręciku! Nie, lepiej było na niższym. Czy moje piórka dosyć gładkie? Jestem głodny, zjedzmy ziarnko siemienia; a może chleb będzie lepszy? Kropla wody mnie orzeźwi. A teraz fruwam dla wypróbowania członków, hop! hop! Zaśpiewam, żeby mi w gardle nie zaschło: kuik! kuik! Mucha fruwa niedaleko, gdyby ją złapać. Lub może pochwycić promień słońca? Jakie ładne mam nóżki! Traderi-dera, jak przyjemnie żyć! Co też słońce robi tam w górze? Musi się nudzić, posuwając się tak wolno. Stanowczo niema na świecie ładniejszego ptaka odemnie". Zmieńmy wyrazy, powiedzmy: stroje, obiady, koncerty, bale, odczyty, a mieć będziemy wierny obraz tego, co się dzieje w pięknej główce. Oczy błyszczą, chwieją się kwiaty we włosach, piersi falują, ręce czynią sto ruchów, głos dźwięczy. Bywa na czterech balach jednego dnia, a kiedy wróci do domu, to myśl o jutrzejszych zabawach spokoju jej nie daje. Zawsze uśmiech na ustach i to nie sztuczny, jest bowiem szczęśliwą i będzie nią zawsze, pod warunkiem, że codzień zobaczy moc fatałaszków, salony, suknie jedwabne, udekorowanych mężczyzn, śpiewaków, powozy, co bądź, byleby było nowe i błyszczące. Urodziła się już podniecona i umarłaby, żyjąc spokojnie.

Czy można jej to brać za złe? Maszyna, zbudowana w pewien sposób, działa jedynie według nadanego jej systemu. Czasami jest to ładna filigranowa robota, gdzie igły elektryczne, osadzone na cienkim postumencie, drżą za najmniejszą zmianą powietrza lub temperatury; cóż innego dać może,

prócz iskier? Przeciwnie, solidnie zbudowany mechanizm działa wolno, lecz silnie i wytrwale.

Biskup Kartaginy. Lękano się jego inteligencyi, za długo był przeto sufraganem. Roztrząsano najprostsze jego słowa. Nie mamy pojęcia o przykrościach i małostkach stanu duchownego Zrezygnowany, smutny, odsunięty na drugi plan, ma zawsze na ustach uśmiech lękliwy.

Kilku artystów i literatów. Za wiele mają pracy i za wiele rozrywek. Paryż, to cieplarnia zanadto ogrzana, aromatyczna i dusząca, która pali, albo znieczula ludzi. Iluż ich towarzyszów zginęło w drodze! Większość pozostałych jest chora, blizka wyczerpania, lub zmuszona, dla zachowania siły twórczej, zamknąć się i zasklepić w sobie. Niektórzy uciekają się do sztucznych podniet, inni przeobrażają się w machiny, naśladują samych siebie, są zmanierowani, doprowadzają bowiem z każdym rokiem do przesady charakterystyczną cechę swego talentu, zamieniając ją w grymas.

Publiczność jest tak znudzona, że trzeba krzyczeć, aby być dosłyszanym. Każdy artysta staje się rodzajem szarlatana, zmuszonego zbyt wielką konkurencyą do ostrej walki. Dodajmy jeszcze konieczność bywania w świecie, troskę o pozyskanie przyjaciół i opiekunów, zręczną reklamę, by dzieło rozpowszechnić, sprzedać i zarabiać coraz więcej na zaspokojenie potrzeb dzieci, żon i kochanek. Suknia kosztuje siedemset franków, a nosi się ją cztery razy; córka dorasta, jaką drogą zebrać dla niej posag i gdzie znaleźć zięcia? Niektórzy zahartowali się wśród takiego życia, jak generałowie Napoleona,

i zdarza się widzieć posępne twarze o posągowych rysach, jakby wyciętych z medali.

Jednakże w tej ogólnej mieszaninie każdy talent znajduje dla siebie grunt odpowiedni.

Balzac miał racyę cenić ten wielki śmietnik ludzki, na którym spotyka się wszystkie typy. Mistyk odszuka ze dwunastu mistyków i doprowadzi swój mistycyzm do granic ostatecznych. Autor kolorostyczny, przebywając z podobnymi sobie autorami, wyrabia i wzbogaca swój język i talent kolorystyczny. Amator sztuki może siedem razy na tydzień prowadzić dysputy o stylu etruskim. Poganin, czy ateusz, nie potrzebuje przywdziewać maski człowieka wierzącego, jak w Genewie, Florencyi, Oksfordzie. Każdy tu wybiera książki, stosunki, opinie i sposób postępowania, jakie mu odpowiadają najlepiej. Tu tylko spotyka się dworaków, intrygantów, maniaków, polityków, bohaterów i ludzi pracy, stanowiących typy skończone i doskonałe. Ale zarozumiałość nie mniejszą jest od energii. Ludzie nabywają ogłady towarzyskiej, uprzejmi są w obejściu, lecz w głębi duszy miłość własna dochodzi do kolosalnych rozmiarów. Zawsze po rozmowie o pięknie i sztuce artysta daje do zrozumienia przyjacielowi, który podziela jego zdanie, że: „co do zrozumienia sztuki, to tylko jesteśmy ty i ja — a właściwie ty!“

Księżna Krasnolo, Rosyanka, Dyana Taurydzka, piękna i wysoka jak córka Jowisza, blada i biała białością śniegu, oczy blado-niebieskie, włosy jasne i jedwabiste; suknia niebieska obramowana puszkiem łabędzim, obciskająca cudownego kształtu pier-

si, a z dwóch stron smukłej kibici opuszczone silne ramiona, jakby wykute z marmuru. Idzie, nie patrząc, z powagą królowej, z oczyma otwartemi i pogodnemi, jak u statuy. Miałoby się prawie ochotę zgiąć przed nią kolano.

Tłum poważnych osobistości, radców, dyrektorów, profesorów, akademików, urzędników z pensyą dwudziestu pięciu tysięcy franków. Musieli pracować przez lat trzydzieści i składać tysiące wizyt, by módz się tu dostać; poznałem ich ostatniemi czasy kilkunastu: wszyscy są tego samego pokroju, wszędzie podobne urządzenie domu: mieszkanie na trzeciem piętrze przy ulicy des Mathurine, albo Montaigne, dwie służące, lokajczyk, jednakowe umeblowanie salonu z haftowanemi pokrowcami, takie same złocone kredensy pomiędzy oknami, ta sama zimna, wulgarna wystawność, pokryta sztucznym komfortem, takie samo życie ścieśnione, a pretensyonalne. Pensya nie wystarcza, chcąc zaś doczekać się emerytury, trzeba zużyć się do reszty. Żadnego wypoczynku, prócz światowego życia, które męczy, a po za tem od czasu do czasu zbyt kosztowna wycieczka do wód.

Wieczna walka pomiędzy niezbędną oszczędnością a niezbędną paradą—co wybrać?

Budżet jest wprawdzie ogromny, ale nie wystarcza wskutek podziału na mnóstwo urzędników. Każdy musi żyć nędznie, żeby wszyscy mogli egzystować. Znać to po twarzach zapadłych, chudych, lub też niezdrowo obrzękłych. Powietrze w biurach niezdrowe, a w salonach jeszcze gorsze. Tu starają się być mili, śmieją się, rozmawiają, czynią jednak

wrażenie gromady małp, starych małp ubranych, zmęczonych, przeżytych, które za wiele cierpiały. Zmęczenie to pochodzi z innej jeszcze przyczyny. Skoro tylko zna się ich trochę lepiej i nie obawiają się kompromitacyi, zaczynają opowiadać historyjki wesołe. Student budzi się w tych mieszczuchach. „Dobre to były czasy — powiadają ze znaczącym uśmiechem. — Czyż przeszły już bezpowrotnie?“ Moralność francuska jest jamą: „Zachowuję pozory, jestem porządnym człowiekiem, dobrym dla tych, co mnie otaczają, pracuję, czy to nie dosyć? Paryż jest dyskretny, mogę używać.“ Jeden z nich twierdził nawet—„Kocham się tylko przez pięć minut“—„Och“—odpowiada sąsiad,—to za mało, trzeba porównywać, smakować, człowiek światowy jada u siebie i na mieście“. Cóż przychodzą tu robić? Rozmawiać nie można, jest za gorąco, ginie się w tłumie, stroje kobiet nikną. Racya bytu tych zebrań jest podług mnie następująca:

— Mają córki na wydaniu, trzeba je pokazać.

— Czasem młody człowiek ma na celu dobre ożenienie.

— Są kobiety, z któremi tylko tam flirtować można.

— Trzeba ludziom pokazać, że się także należy do towarzystwa.

— Można ostatecznie i tu, tak jak w klubie, rozmawiać o interesach.

— Młode mężatki, nawet stare, nudzą się straszliwie wieczorem sam na sam z mężem; potrzebują rozrywki, ruchu, zmiany, jak fryzyerczyk

i modystki, którzy chodzą na bale do dzielnicy łacińskiej.

Ja sam, co ich krytykuję, pocóż tu jestem? Postąpiłem automatycznie, idę za tłumem, nie byłem dość rozsądny, aby dzisiejszy wieczór spędzić w swoim pokoju. Czy się bawiłem? Po pierwszych pięciu minutach olśnienia cóż zobaczyłem, prócz spiczastych łokci i wymuszonych twarzy? Doprawdy, ładniejszy miałem widok w Ameryce, kiedy przy dźwięku trąb widziałam między drzewami tłuste karki i krzyże moich wieprzów, gdy słońce oświetlało ich wesołe skoki, a krzyk ich rozlegał się po starym lesie.

Nie trzeba zanadto zgłębiać swoich wrażeń. Oto bilans ostatniego przedstawienia w operze. Zsumowałem w jednym rzędzie wrażenia dodatnie, w drugim ujemne:

	winien	ma
Ładne rondo pasterskie		1 fr.
Duet namiętny w drugim akcie .		1,50 „
Zgiełk i hałas finału	0,75	
Poważna i głęboka harmonia sekstetu	0,25	
Widok Massyny w trzecim akcie .		0,03 „
Tłusty tenor, nadęty indyk . . .	1,25	
Primadonna ma długie nogi i beczy.	0,50	
Nieporównana głupota figurantów przebranych za wielkich panów	1,00	
Figurantki jeszcze gorsze	1,50	
Orkiestra dobra, ale za hałaśliwa.		2,25 „

Nogi tancerek za cienkie	1,50	
Ramiona chude; chciałoby się poczęstować je befsztykami. . .	1,00	
Uśmiechy lalkowate i smutne . .	2,00	
Pierwszy bohater, nogi i głowa en face		3,00 „
Tenże z profilu	2,00	
Pierwszy baletmistrz; angora wypchany, mdły i niezabawny. .	2,00	
Antrakty. . . , ...	3,00	
Niemili mrukliwi sąsiedzi. . . .	1,00	
Ładne dziewczyny młode i świeże w loży na prawo		5,00 „
	17,75	15,75 fr.

ROZDZIAŁ XII.

ŚWIAT.

Opera włoska, wtorek, sobota, co tydzień od dwóch miesięcy i dziś tam dążę wieczorem; opera ta dorównywa salonom najbardziej wykwintnym i sławnym.

Blask jest wielki i w jaśnieniu palącego się pięciuset płomieniami żyrandola wznosi się ku górze poczwórny wieniec lóż i strojnych kobiet.

Gorące powietrze, przesiąknięte wonią różnorodnych perfum i oddechami ludzkiemi, drży w migocącem świetle. Czarny ruchomy parter wydaje się mrowiskiem w czasie antraktów. Ruchliwe i przeżyte twarze kurczą się od tych palących promieni. Szmer rozmowy wzrasta z każdą chwilą. Widząc, jak tak kręcą się, kłaniają, gestykulują, przeginają swe ciała uwięzione w wązkich fotelach,—przychodzi na myśl rój owadów, uwięzionych w beczce.

To wskazuje rodzaj przyjemności, po którą tu przychodzą: *potrzeba podniecania się*—wyraz ten w Paryżu wciąż powraca na usta.

Balzac mówił, że umiera wskutek pięćdziesięciu tysięcy filiżanek kawy; powinien był dodać, że żył pięćdziesięciu tysiącami filiżanek kawy. Całe towarzystwo paryzkie czyni to samo, dlatego też opisał je tak dobrze. Ileż razy przyglądałem się twarzom osób siedzących w lożach! Stoi się raz przez kwadrans nieruchomo przed główką jakąś subtelną i pełną życia, która, jak w ramce, odcina się w soczewce lornetki. Mimowoli wstaje się, pragnąc podejść, żeby przyjrzeć się zblizka i odgadnąć, jakiego rodzaju dusza kryje się pod tą powłoką z jedwabiu, atłasów i koronek.

Kleopatry zgnilizna i cywilizacya egipska przed osiemnastu wiekami wytwarzały kwiaty równie upajające, równie wspaniałe, niezdrowe i niebezpieczne, jak ten grunt paryzki, z którego czerpiemy siły nasze żywotne i nasze cierpienia. Na pierwszy rzut oka robią wrażenie sfinksów. Patrzysz im prosto w oczy—nawet nie poruszą się, pod ogniem zaś kilku skierowanych na nie lornetek najmłodsze pozostają niewzruszone; nie chcą dostrzedz twojej obecności; żaden rumieniec nie pokryje ich czoła, usta nie zadrgają wzruszeniem, rozmawiają dalej i lornetują, każda z nich patrzy na ciebie, jak na manekina, na którym wiszą trzy kawałki czarnego sukna; nerwy jej, jak u żołnierza w ogniu, silnie są napięte, ale twarz ma pogodną i podniesioną głowę; uczesanie, suknia, nrjdrobniejszy kawałek wstążki, najlżejszy ruch wachlarza, wszystko to woła

w niej, krzyczy: „Chcę mieć i będę mieć coraz więcej i bez granic".

Jedna z nich nawprost mnie, o rozdętych nozdrzach i ruchliwych ustach, wygląda jak przezroczysta lampka porcelanowa, oświetlona wewnętrznym płomieniem. Twarz jej jest szczupła, źrenice rozszerzone, oczy nieco zapadnięte wyrażają wolę i pożądanie. Jest blada, wspaniałe zaś czarne włosy okalają głowę przepysznym dyademem. Białe kokardy, wpięte z jednego boku, nadają temu uczesaniu coś fantastycznego. Jeśli rozmawia lub słucha, to tylko dla galeryi; ręka jej gniecie nerwowo brzeg koronkowej chusteczki. Wydaje się spokojną, ale jakże ten spokój jest niepokojący! Nawet młoda i śliczna pantera nie może być ani zgrabniejsza, ani bardziej nerwowa; zwłaszcza uśmiech jest niebezpieczny. Zetknęła się ze wszystkiemi niezdrowemi prądami naszej literatury współczesnej: czytała Balzac'a, George Sand'a i Flaubert'a, nie tak, jak my, od niechcenia i ze spokojem badaczy i krytyków. Przeżyła wyobraźnią dzieje takich bohaterek, jak pani Bowary, Indyana, pani Graslin, pani Marneffe; śledziła za niemi, jako ich współzawodniczka, przez długie popołudnia bezczynnie spędzane na kanapie; zaostrzyła swą wrażliwość przez bywanie w świecie, w teatrze, rywalizacyę w strojach. Z niezwykłą inteligencyą i zręcznością umiała wybierać wśród przyjemności, a oddalać to wszystko, co mogłoby razić smak estetyczny. Za maksymę przyjęła: „Nie dbam o nic, ani o nikogo; pragnę bawić się i chcę, aby przyjemności moje były wyszukane, a wrażenia silne. Znajdę je, bo mi ich potrzeba, należą mi się,

mam prawo je mieć, jak ptakowi wolno fruwać, a koniowi biegać.

II.

Chcecie dowodów? Opowiem historyę jednej sukni: pani S..., która siedzi o parę kroków odemnie, ma suknię wartości sześciuset franków. Jej mąż, powieściopisarz, otrzymuje także sześćset franków za napisanie jednego tomu. Sześć lat temu posiadał sto tysięcy kapitału, obecnie zaś ma już tylko pięćdziesiąt tysięcy, gdyż co rok z niego czerpie.

I czegożby one nie zrobiły dla sukni? Jest w Paryżu dawny fotograf, bardzo znany pięć lat temu. Człowiek ten rozumiał potrzebę reklamy i blagi: urządził sobie pracownię według ostatniej mody; miał w niej wazony sewrskie i stare książki w cennej oprawie. Powoli przeszło to u niego w manię: zaczął skupywać starą sewrską porcelanę i rzadkie księgi; miał konie, flowery, rozrzucał pieniądze z królewską rozrzutnością. W krótkim czasie nastąpiło bankructwo i wierzyciele dostali zaledwo siódmy procent. Jego żona, dawna panna magazynowa, założyła niewielką pracownię; on dawał rady, powoli powodzić im się zaczęło, pracownię zatem powiększyli. Dziś znowu mają powozy, a wszystkie kobiety ubiegają się o to, aby się u niego ubierać. Ten mały, czarny, nerwowy człowieczek przyjmuje je ubrany w aksamitną bluzę, leżąc na kanapie, z cygarem w ustach: „Proszę chodzić, obrócić się; dobrze, niech pani wróci za tydzień, obmyślę dla pani suknię". — To nie one wybierają,

tylko on i to ich uszczęśliwia. Potrzebna jest protekcya, aby być przez niego ubieraną. Pani Franciszka B... osoba z najlepszego towarzystwa i bardzo dystyngowana, przyszła do niego przed kilku tygodniami. „Przez kogo jest mi pani poleconą?“ „Co pan chce przez to powiedzieć?“? „Że trzeba mieć rekomendacye, żeby się u mnie ubierać“. Odeszła zdziwiona i oburzona. Inne zostają, mówiąc: „Niech będzie szorstki i niegrzeczny, byleby mnie ubierał“. — Niektóre z nich, jego faworytki, przychodzą pokazać mu się przed pójściem na bal. Wydaje dla nich herbatki o godzinie dziesiątej. Ludziom, których to dziwi, odpowiada: „Jestem wielkim artystą, mam genialne poczucie koloru Delacroix, tworzę. Piękna suknia ma wartość obrazu.“ — Jeśli kogo drażnią jego wymagania, tłómaczy: „Mój panie, w każdym artyście jest coś z Napoleona. Kiedy Ingres robił portret księżnej d'A.., pisał do niej zrana: „Potrzebuję dziś widzieć panią w teatrze w białej sukni, z różą we włosach“. I księżna rzucała wszystkie zaproszenia, ubierała się w białą suknię, wpinała różę we włosy i udawała się do teatru. Sztuka jest Bogiem, a ludzie są na to, aby słuchali naszych rozkazów“.

III.

Młodzi ludzie wstają z krzeseł, chodzą po korytarzach, wspinają się na palce i wyciągają szyję, żeby zajrzeć do lóż przez okrągłe okienko. Jest to spojrzenie pełne pożądania, podobne do tych, jakie rzucają biedacy na wspaniałe kosze brzoskwiń na

wystawie u Cheveta.—Rozmowa w lożach. Jest to przegląd wszystkich kobiet ze świata i półświatka, które się w sali znajdują. Mężczyźni silą się na dowcipy i lornetują bezczelnie. W gruncie duszy muzyka ich nudzi i przyszli tu, aby towarzyszyć żonom... Znam jednego, który przynosi z sobą gazetę poświęconą ekonomii politycznej. Większość lubi tylko tańce, balet ich rozbudza. Kobiety patrzą na to z politowaniem, a wzrok ich zdaje się mówić: „Zmysłowi, ordynarni, oto jakimi są mężczyźni“.

Ton przyjęty powszechnie, to pogardliwa ironia. Aktorów uważa się za manekinów i płatnych pajaców. Czemże bowiem jest fach aktora? Jakże obojętne, znudzone i szydercze spojrzenia padają z lóż na scenę! W czasie przedstawienia i rozpaczliwych wysiłków primadonny wszyscy rozmawiają, lornetują, hałasują.

Z lóż półświatka przyglądają się jej, ważą i oceniają głośno śpiew jej i toaletę; w lożach, zajętych przez osoby z towarzystwa—robią to samo półgłosem. Ani śladu rozmarzenia. „Dzielnie odkrzyczane“, oto streszczenie ich najwyższej pochwały... Pedanci używają czasem terminów technicznych.—Raz, podczas występu debiutantki, w najdramatyczniejszym ustępie jej roli rzekł ktoś na cały głos: „Ma nerw sceniczny, ile też pobiera gaży?“—„Nie, wystawia siebie na pokaz, to ona płaci pieniędzmi, lub osobą, jest na to dosyć tłusta“.

W pełnem świetle siedzi kilka kokot. Spódnice ich układają się w piękne fałdy, włosy fryzowane, spiętrzone, pociągają wzrok, niby wełna owiec egzotycznych. Wychylają się i zachowują hałaśli-

wie. Każda z nich mając białe rękawiczki, powozy, dwóch lokai, lożę stufrankową, wyobraża sobie, że jest damą; w chwilach zaś pesymizmu, zadajemy sobie pytanie, czy nie mają racyi?

Dzwonek. Czwarty akt się rozpoczyna i fala fraków zalewa korytarze.

IV.

Nie wiem dlaczego, ale kiedy na nie patrzę, przychodzi mi zawsze na myśl stary Rzym i stara Aleksandrya. Kiedy zamknę oczy, wszystkie te nowoczesne głowy przypominają biusty z IV wieku w muzeum Campana. Wtedy, jak i dzisiaj, kultura doprowadziła człowieka do ostatecznych granic wyrafinowania; wielkie stolice rozbudzały żądze; dusze zanadto skomplikowane przestały odczuwać prawdziwe piękno, które jest proste; realizm zaś, podobny do sztuki Henryka Monnier, Champfleury, Daumier'a, tworzył rzeczy skarykaturowane i pospolite, któremi się lubujemy.

Robiłem dziś notatki, przyglądając się niektórym z tych biustów. Przypatrzcie się im i powiedzcie, czy te głowy i ciała nie są podobne do tych, których spotyka się we fraku i cylindrze? „Dyoklecyanin, starzec wystraszony, który coś mruczy bezzębnemi szczękami". „Kommod, wybladły, dziwaczny, chorowity, z wyłupiastemi oczyma, rodzaj bękarta zrodzonego drogą potwornego krzyżowania. Przeważają w galeryi cesarze, cesarzowe, konsulowie, wielcy ludzie, ale jest tam i urzędnik ogłupiały, skurczony, pobierający tysiąc franków pensyi. Szczupły jegomość, chory na katar żołądka. Stara panna zgorzkniała, zasuszona. — Jałówka o pucołowatych policzkach. — Głowa kozy wystraszonej. — Słowem wszystkie manie, małostki natury ludzkiej, piętno fachu, to wszystko, co nas czyni podobnymi do chorych, idyotów, trupów, co trąci mieszczaństwem, to, co nam pokazuje człowieka przy stole w szlafroku, w kuchni, gderającego na sługę, lub zarabiającego dwa grosze".

Co za różnica jeśli popatrzymy na wspaniałe posągi greckich bohaterów! Życie na świeżem powietrzu, zdrowe, śmiałe, młodość długotrwała, zręczność, siła, spokój, prostota duszy dziewiczej, wrodzona szlachetność, zdolność przyswajania sobie wszystkiego! Jakże dalecy jesteśmy od tego! Prawie tak oddaleni, jak Rzymianie z czasów upadku. Przypatrzmy się sędziemu, który pożółkł wskutek złego powietrza, skurczył się pod wpływem zniecierpliwienia, zesztywniał w swej roli; adwokatowi z oczyma sprytnej kuny i błyszczącemi okularami, urzędnikowi zasuszonemu w dusznej atmosferze biura, o cerze ziemistej, jak woda mętnej rzeki. Zdawałoby się, że z roku na rok zagłębia się w nich rodzaj pala wewnętrznego, który zmienia ich rysy, wykrzywia postawę. Żyją jednak i wytwarzają tę naszą świetną cywilizacyę. Podobni jesteśmy do statystów i aktorów, których życie zaczyna się w nocy, którzy oddychają zatrutem powietrzem, całość zaś wywiera piękne wrażenie. Nie zupełnie jednakże ci ludzie IV wieku byli zużyci; my zaś, chociaż przemęczeni, żyjemy jeszcze, nawet żyjemy zanadto. Paryż nas przepala; niektórzy wychodzą z tej pró-

by jeszcze piękniejsi. Pokazano mi kiedyś w loży kilku ludzi: literatów, podróżników i złotych młodzieńców. Trzech z nich miało twarze martwe, nieruchome, których ani słońce, ani praca, ani wesołe życie naruszyć nie mogły; głowy podobne do Wespazyaua lub Tyberyusza. Wielu bardzo zginęło w drodze; ci, co przetrwali, zahartowani są i żyją w ogniu, jak w swoim żywiole. Nawet ludzie prości mają dużo woli, zapału, uporu i energii. Biegną pod batem współzawodnictwa i biedz tak będą do ostatniego tchu. Zdobędą majątek, awans, będą mieli kochanki i żony, a dzieci ich zrobią karyerę. Daremnie nasza lampa o skoncentrowanym płomieniu wyrzuca z trzaskiem snopy niszczących iskier; nie pachnie, ale oświetla, chwilami zaś jaśnieje tak wspaniałym blaskiem, że nic jej dorównać nie zdoła.

Widzieliśmy taki błysk nagły i wspaniały w czerwcu 1848 roku, w ulicznikach zamienionych w żołnierzy,

V.

Fraschim zanadto krzyczy i tak jak Tamberlick, zanadto wytrzymuje nutę i to mu głos zużyje. Verdi robi to samo: ordynarny, potężny, gwałtowny, z wiecznie wyprężonemi nerwami i muskułami, nie oszczędza ani siebie, ani drugich, chce wycisnąć i wchłonąć odrazu całę treść namiętności i rozkoszy, choćby miał paść martwy za chwilę. Podobny jest do słuchaczy i oto dlaczego go rozumieją.

ROZDZIAŁ XIII.

OPERA WŁOSKA.

Zdaje mi się, że byłem niesprawiedliwy, pisząc ostatnim razem o operze włoskiej. Panował straszny upał i prawdopodobnie byłem zdenerwowany, kreśląc swoje notatki.

Urocza szesnastoletnia panienka w trzeciej loży wprost sceny. Loża jest roczna. Towarzyszą jej ojciec i matka; czasami także brat, członek *Jockey-Clubu*, wielki elegant, o stanowczym wyrazie twarzy, wyniosłem i surowem spojrzeniu człowieka, który przywykł tresować konie i kobiety, tylko, że z kobietami obchodzi się ostrzej niż z końmi. Dosyć często przychodzi również do loży właściciel majątku ziemskiego, wysoki, brodaty jegomość, podobny do orangutanga, prawdopodobnie przyszły narzeczony.—Dobra rodzina, arystokratyczne stosunki, matka ma znaczny majątek, doskonałe konie i służbę w świetnej liberyi.

Panna nosi imię Małgorzaty, jest wesoła, ale bez przesady, ani trzpiotowata, ani nad wiek dojrzała; jest to dziecko szczęścia, wychowała się wśród dostatku, wspaniałe zaś toalety, bale, pałace, są dla niej rzeczą tak naturalną, że powiedziałaby ludziom, nie mającym chleba: „A więc kupcie sobie ciastek!“ Taka osoba jest rzadkością wśród tych wzbogaconych perweniuszów, pracujących bez wytchnienia, pożeranych ciągłym niepokojem, dręczonych chciwością. Przyglądam się jej od pięciu czy sześciu dni, gdyż orzeźwia mnie jej widok. Różni się od tych wszystkich ludzi, spotykanych na bulwarach i na giełdzie, w kawiarniach lub teatrze, robiących na mnie wrażenie mrówek, zajętych gorączkową pracą i tak wściekłych, jakgdyby je obsypano pieprzem. Śliczną miała suknię pozawczoraj: stanik z niebieskiego jedwabiu, uwydatniający wiotkość kibici, zakończony falbanami z koronek. — Bardzo skromna i bardzo dziewicza jest mało wydekoltowana—a we włosach ma tylko jednę rożę. Ale ten stanik obcisły, okrywający, a zarazem uwydatniający jej kształty, obliczony jest na efekt. Jednakże nie ona obmyśla swe stroje, posłuszna jest jeno modzie, zresztą to matka ją ubiera; jest za młoda, by zrozumieć, jakiego rodzaju wrażenie wywiera jej suknia; myśli jej są mętne jeszcze i zbyt nowe; zarumieniłaby się z pewnością słysząc moje słowa, a jednak w tej swojej półświadomości przeczuwa, że jest jej w tym stroju do twarzy, że w innym staniku byłoby jej mniej ładnie, że się podoba, że oczy mężczyzn z lubością spoczywają na jej kibici. Nie zastanawia się głębiej, dostrzega wśród mgły złotej i przejrzystej jakby daleki odblask tych marzeń.

Prawdziwa różâ uśpiona: podczas gdy rozwiewają się mgły poranne a białością świetlaną powleka się niebo opalowe, słyszy, spokojna i rozmarzona, szelest skrzydeł w oddali, szmer niewyraźny niezliczonych owadów, które za chwilę brzęczeć będą wokół jej serca.

(Do dyabła z przenośniami; nie można wyrazić się jasno, a odczytując te notatki, nie będę miał w pamięci ani jej twarzy, ani jej wyrazu).

Cera jej jest biała i świeża; usta małe, wpółotwarte, o łagodnym, spokojnym uśmiechu; ani śladu rozgorączkowania; mówi o rzeczach zwyczajnych, nie siląc się na dowcipy. Wir życia paryzkiego nie porwał jej jeszcze; pływa po niem, jak łabędź po pięknem jeziorze. (Wciąż używam przenośni, widocznie kiedy tak same z siebie przychodzą, najlepiej oddają moje wrażenia). Widać, że jest jej dobrze na świecie, że nie myśli o kokieteryi, intrygach, rywalizacyi, pieniądzach; że nasze troski, kłopoty są jej nieznane, że nigdy jej nie zbywało na szacunku, hołdach, zachwytach. Nie wyobraża nawet sobie, żeby mogło być inaczej. Czyż my lękamy się, aby nam światła i wody zabrakło? Zrana wyciągając rękę natrafia na świeżą suknię; czyż po odsłonięciu firanek pierwszy promień nie zawsze pada na nową suknię? Nad jej łóżkiem jest dzwonek; czyż dzwonek nie służy do wezwania służącej? Przed pałacem roztacza się rozległy dziedziniec; czyż nie zawsze stoją na dziedzińcu powozy? Na nich zaś wyrastają stangreci i lokaje, jak wiśnie na drzewie wiśniowem? Co zaś do poważnego szwajcara, to oczywiście drzwi go wytworzyły, wraz z nową liberyą i czerwonem obliczem.—Tu przytoczyć wy-

pada paryzkie określenie oliwek: zielone gałeczki, które zwykle widzieć można dokoła kaczek. Nie słucha „Cenerentoli“ nie przerywa rozmowy nawet podczas przepięknego sekstetu. Dwa dni temu tak samo zachowywała się na „Trubadurze“. Od czasu do czasu porusza swą głową ptaka, uśmiecha się zlekka, zdawałoby się, że skupia nieco uwagę. Książęce ma nawyknienia: śpiewacy tylko dla niej śpiewają, jak dawniej na dworach królewskich; są to płatni robotnicy, których się odprawia skinieniem ręki; w naszym dopiero wieku zaczęto artystów uważać za równych sobie ludzi. Dawniej malarz był tapicerem, który dekorował pałace; poeci, muzycy służyli do bawienia gości podczas dworskich przyjęć; jadali ze służbą, a jeżeli dopuszczano ich do stołu, to jeno dlatego, żeby bawić się ich kosztem. Santeni umarł, gdyż książę Kondeusz wsypał mu do szklanki zawartość tabakierki. Mozart otrzymał kopnięcie nogą od księcia-biskupa Salzburgu.

Przybyła tu, ponieważ wszyscy tu przychodzą i nie ma nic innego do roboty, ponieważ zbiera się tu całe towarzystwo, ponieważ posiada powóz i konie, służbę, ktora ją przywozi i odwozi, pannę służącą, która ją ubiera, tak, że o nic nie potrzebuje się troszczyć. O tem, że loża jej kosztuje sto dwadzieścia franków, nie pomyślała nigdy. Widziała coprawda czasem, jak sześć drobnych sztuk złota przechodziło z jednej ręki do cudzej kieszeni, ale zdziwiłaby się, gdyby jej powiedziano, że tyleż kosztuje całoroczne mieszkanie robotnicy. Co zaś do wyrażonych przez muzykę smutków i namiętności, które my, znając życie, odczuwać jesteśmy zdolni, nie przeczuwa ich nawet, jest na to za młoda i zamało

doświadczona.—Dla niej, to tylko pajace źle ubrani; płaszcz Don Magnifica jest wytarty; aktorki mają nie świeże stroje i są w jej oczach istotami niższemi, coś w rodzaju służących, które naśladują wielkie damy. Kiedy Trubadur śpiewał, patrzyła na jego olbrzymią brodę, na usta otwarte, jakby chciała powiedzieć: „Biedny człowiek, po co on się tak męczy!“ Sceny miłosne wydają jej się śmiesznemi; dziwią ją te ruchy gwałtowne. Ponura melodya, przeciągłe łkania, potężne dźwięki, przechodzące stopniowo w przeszywający okrzyk bólu, robią na niej to samo wrażenie, co tłum zabłocony, cisnący się na bulwarach podczas deszczu. Rzuca okiem na skrzypce, po których przesuwają się smyczki ze zgrzytem, na palce, które się kurczą—i to jej przywodzi na myśl zwinne myszki, biegające po klatce. W roku zeszłym, gdy „Piekło“ Doré'go było w modzie, widywałem w salonie podobne do niej panny, przewracające kartki z okrzykiem: „Jakie to ładne! Ach, jakie dziwne twarze! Och, te węże! Boże mój, są i widły!“ Tegoż roku dawano w Operze „*Alcesta*“ i młode kobiety, w czasie przerażającej aryi ofiarnej szeptały z tłumionym śmiechem: „Patrz, mięso przynoszą na ołtarz; spojrzyj prędko przez lornetkę! Doprawdy, prawdziwe kotlety!“

Jestem głupcem, pocóż patrzeć zawsze na odwrotną stronę! Czyż nie lepiej było przyglądać się tylko niebieskiej sukience i marzyć o szyjce wyłaniającej się z pod złotych włosów? Więc dobrze, nie ma na świecie istoty doskonałej. Zrobiłem wspaniałe odkrycie i dużo mi z tego przyszło, że wypo-

wiedziałem tę prawdę, Prawdziwym jest jeno kształt, i marzenie, które kształt ten w nas budzi; właściwym zaś do niego komentarzem jest nie rozumowanie, ale muzyka. O północy wracam do domu i przed rozpalonym na kominku ogniem zasiadam w fotelu. — Cisza panuje dokoła, służba już śpi; od czasu do czasu dochodzi do mych uszu daleki, niewyraźny turkot powozu. Teatr, wszelkiego rodzaju przedstawienia to rozrywki pospolite, a nawet i wszelka rzeczywistość jest pospolita; prawdziwie piękne i miłe są tylko pół-sny. Zapomina się o wszystkiem, machinalnie spoglądając na wolno posuwające się wskazówki zegara, w duszy zaś tworzą się i rozwiewają senne obrazy. Fragmenty melodyi brzmią w uszach, tak się je wtedy dobrze odczuwa i tak dobrze rozumie duszę mistrza! Jest się szczęśliwym, nie widząc aktorów, dekoracyi, kinkietów, całej tej sztuczności, która przesłania nam muzykę! O takiej godzinie śpiewa mi w duszy nie Verdi, nie Rossini, ale Mozart. Zeszłego roku z dziesięć razy słyszałem *„Cosi fan tutte“* i przy takich właśnie melodyach przychodzi mi na myśl twarzyczka świeża i miła, którą dziś widziałem. Mam znowu przed oczyma scenę i pejzaż miły i świetlany. Taras wznosi się nad brzegiem morza, pośród kaktusów i z altanką okoloną wieńcem różanym. Radość, tkliwość, miłość odwzajemniona i spokojna są tu w swojej ojczyźnie. Powietrze jest tak łagodne, że oddychając niem, już się czujemy szczęśliwi. Krajobraz jest tak piękny, że wzrok nasycić się nim nie może. Olbrzymia zwierciadlana przestrzeń pogodnego, promiennego morza ma połyskliwą barwę rozkwitłego barwinku. Na krańcach horyzontu wznosi się góra we mgle złotej i błękitnej; światło zamieszkuje w jej szczelinach; drzemie w nich uwięzione powietrzem i oddaleniem; pokrywa je, jakby płaszczem, a dalej jeszcze ostatnie łańcuchy gór, zabarwione odcieniem bladego fioletu, pływają i nikną w niewzruszonym lazurze. Najświetniejsze ozdoby cieplarni, perłowe żyłki orchidei, miękki aksamit na brzegach skrzydeł motyla, nie są ani piękniejsze, ani świetniejsze. Mimowoli przychodzą na myśl najwykwintniejsze przedmioty zbytku i cuda przyrody, jedwabne morowe suknie, lub różowe i żywe ciało, które drży pod zasłoną. Czyż można tu myśleć o czem innem, jak o szczęściu i miłości?

Mozart nie myślał też o niczem innem; cała jego opera nie ma sensu, ale to tem lepiej. Czyż marzenie powinno być prawdopodobnem? Czyż prawdziwa fantazya, uczucie silne i czyste nie może wznosić się ponad zwykły poziom życia?

Czyż w dziedzinie ideału kochankowie nie są wolni od więzów, które nas krępują? Przebierają się za Turków, żeby doświadczyć swoje ukochane, udają, że się trują; służące przeobrażają się w doktorów i rejentów, a panie ich wierzą temu. Ja także chcę wierzyć, choć przez krótką chwilę i dlatego wrażenie moje jest tak miłe. Zapomnę o intrydze; na scenie dwie Włoszki śmieją się i kłamią, ale w muzyce nikt nie kłamie i nikt się nie śmieje, najwyżej dostrzedz można uśmiech, któremu łzy często towarzyszą. Mozart, będąc wesołym, nie przestaje być szlachetnym; nie jest to epikurejczyk, jak Rossini, nie szydzi ze swoich uczuć; jest w jego wesołości subtelność i delikatność, a jeśli nawet jest wesoły, to tylko dlatego, że w duszy wielkiego artysty,

1/2
45
475305/1387

jak w doskonałym instrumencie, żadnej struny brakować nie może. Ale podstawą jego duszy jest bezwzględna miłość piękna; kochanka nie jest dla niego rozrywką, ale bożyszczem; wpatruje się w nią, jak w niebiańską istotę; serce topnieje mu z tkliwości, a jeśli uśmiech rozjaśni mu usta, będzie to westchnieniem szczęścia!

Nie dosyć tego. — Dołączył dobroć do miłości. Nie szuka, jak Rossini, własnej przyjemności, nie jest uniesiony, jak Beethoven, wzniosłem uczuciem, lub kontrastem wielkiej i nagłej radości po beznadziejnej rozpaczy. Pragnie uszczęśliwić osobę, którą kocha. Jakże boską jest kawatina z drugiego aktu. Jakże jest słodką, a zarazem melancholijną! A chwilę przedtem smutna melodya pożegnania, jakże wznosiła się i opadała w modulacyach czułych i pieszczotliwych! Mozart jest równie dobry, jak szlachetny i zdaje mi się, że będąc kobietą, musiałbym go kochać!

Flety i skrzypce łączą się z sobą harmonijnie. Rozkoszna melodya płynie niby woń kwiatów, którą lekki powiew niesie od ukwieconych ogrodów, wesołe oczy, świeża cera, kibić wychylona, okrągłe białe ramię, stanik niebieski, zarysowywują się wyraźnie na brzegu tarasu. W oddali czysty, niezmierzony błękit nieba i morze lazurowe, jaśnieją spokojem niezmęczonym i nieśmiertelną młodością.

Pierwsza, druga, trzecia rano. Ogień mój wygasł zupełnie; zmarzłem i jutro będę zachrypnięty, ale wydobyłem z mej panienki *całą jej wartość.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

UNIWERSYTET MARSZAŁKOWSKI BIBLIOTEKA B-ka
APTEKA
St. Jaglińskiej
Zwoleń
82 338/1

82 338

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:		Z PRZES. POCZT.:	
Rocznie (52 tomy)	rb. 10	Rocznie (52 tomy)	rb. 12
Półrocz. (26 tom.)	„ 5	Półrocz. (26 tom.)	„ 6
Kwartal. (13 tom.)	„ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie (za 52 tomy) . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

Redakcya i Administracya Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 88 we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO. WARECKA 14.